

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru
40 gr.

Prenumerata z dostawą
do domu:

miesięcznie . . 1.35 zł.

kwartalnie . . . 4.— zł.

Konto w P. K. O. № 63.353

ŁÓDŹ

WARSZAWA

POZNAŃ

Sprawy tygodnia

SPRAWA LITEWSKA.

OBRADY PAMIETNEJ czterdziestej ósmej sesji Rady Ligi Narodów w Genewie zostały zakończone, a we wtorek 13 grudnia wrócił do Warszawy Marszałek Piłsudski. Na sesji tej dokonany został w sprawie polsko-litewskiej zwrot zasadniczy. Osiągnięte zostało mianowicie to, że Litwa zobowiązała się do likwidowania stanu wojennego, w jakim pozostawała w stosunku do Polski od chwili zajęcia Wilna przez armię generała Żeligowskiego. Reszta ułoży się już bez pomocy Ligi Narodów. Znalazłszy się na stopie pokojowej, Litwa będzie musiała nawiązać jakieś stosunki sąsiedzkie z Polską. A ponieważ z naszej strony uczynione będzie wszystko, aby te stosunki ukształtowały się jaknajlepiej, jest nadzieja, że dalszy ciąg, zaczętego w Genewie nowego okresu w stosunkach polsko-litewskich potoczy się już gładko. O ile oczywiście nie będzie niespodzianek.

A NIESPODZIANKI nie są wykluczone. Dyktatura Waldemara jest dyktaturą militarną. Partja jego w sejmie posiadała za ledwie trzy mandaty na ogólną liczbę 83 mandatów (partja nacjonalistyczna — tautininkai). Waldemaras sprawował swoje rządy z łaski korpusu oficerskiego, garski nacjonalistycznych studentów i organizacji szalunów. Ta ostatnia organizacja istnieje dzięki temu tylko, że istnieje sprawa wileńska. Powstała w imię hasła odzyskania Wilna i będzie musiała skończyć swoją egzystencję, gdy skończy się sprawa wileńska. Jak długo Waldemaras stał na stanowisku stanu wojennego z Polską, tak długo był dobry dla tych, którzy stanowili oparcie dla jego rządów. Czy potrafi teraz, gdy zobowiązał się do zlikwidowania stanu wojny, znaleźć gdzie indziej oparcie dla swoich rządów? Bo że odmówią mu go dotychczasowi sprzymierzeńcy, zdaje się być więcej niż pewnym. Nikt dobrowolnie nie wyrzeka się tego, z czego żyje i dzięki czemu istnieje. Waldemaras doszedł do władzy przez zamach stanu — dla czegożby inny jakiś Waldemaras nie chciał się o to samo pokusić?

Pierwsze wiadomości, jakie nadeszły z Litwy po decyzji genewskiej, nie są pocieszające. Wynika z nich, że do otrzeźwienia daleko tam jeszcze, że nawet szal nacjonalistyczny wzmagą się.

Sprawa litewska nie jest tak prosta, jak usiłowano nam ją przedstawić w niektórych organach prasy naszej. I z tego zdaje sobie najlepiej sprawę Marszałek Piłsudski. Świadczy o tym jego podróż do Genewy. Chodziło bowiem nie o taką czy inną deklarację p. Waldemaras, bo w takich warunkach, w jakich znajduje się obecnie Litwa kowieńska, jest to tylko deklaracja jednego człowieka i to w dodatku niepełnomocnego nie należy, ale o spowodowanie w tej sprawie rozstrzygnięcia międzynarodowego, bezwzględnie miarodajnego dla mocarstw europejskich i dla europejskiej polityki.

Rezolucję o likwidacji stanu wojennego pomiędzy Polską a Litwą powzięła jednomyślnie Rada Ligi Narodów. Waldemaras uznał tę rezolucję za obowiązującą dla siebie. I jeśli nawet doszłoby na Litwie do nowego zamachu stanu i nowy dyktator zechciałby nad tą rezolucją przejść do porządku dziennego, ścignie na siebie wszystkie konsekwencje, jakie w takim wypadku przewiduje pakt Ligi. Ścignie je także na siebie każdy, kto w jakikolwiek sposób podtrzymuje taki ewentualny opór Litwy przeciw deklaracji Rady Ligi Narodów. I dlatego wielkim sukcesem i wielkim zwycięstwem Marszałka Piłsudskiego w Genewie nie jest uzyskanie Waldemarasowego „tak” na rezolucję Rady Ligi, lecz przecięcie pasma intryg, które wiązało sprawę litewską z centrami polityki europejskiej, wyrwanie te-

go lontu, który zapalony przez jakiegoś nieobliczonego człowieka w Kownie, mógł łatwo spowodować wybuch całego szeregu niszczycielskich min w różnych punktach Europy.

W porównaniu z tem fakt, czy rokowania polsko-litewskie w sprawie nawiązania normalnych sąsiedzkich stosunków rozpoczną się w styczniu czy później, czy doprowadzą do natychmiastowych rezultatów, czy też wlec się będą, jednym słowem goły fakt zlikwidowania przez Litwę stanu wojennego z Polską, posiada znaczenie drugorzędne.

Zatarg litewski osadzony został definitywnie i bezapelacyjnie na terenie międzynarodowym. Wyjaśnione zostało przy tej sposobności zwłaszcza stanowisko Niemiec, które dotychczasowem swoim zachowaniem się w sprawie litewskiej hzbudzały zawsze niepokojące podejrzenie, że istnieją w ich umowach z sowietami punkty, skierowane przeciw Polsce na wypadek wybuchu konfliktu na naszej z Litwą granicy. Że tak jest istotnie, o tem najlepiej świadczy stanowisko prasy niemieckiej nacjonalistycznej, która nie znajduje dość słów potępienia dla taktyki p. Stresemanna w Genewie, w wyniku której „Niemcy rezygnują z pomostu, łączącego ich z Rosją”.

W takich warunkach można mieć nadzieję, że sprawa litewska zostanie prędzej czy później i już bez niepokojących incydentów, zlikwidowana. Nacjonalizm litewski, widząc się osłabionym, będzie musiał pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy i przyjąć wypracowaną do zgody dłoń polską. A już dalej będzie rzeczą polskiej polityki nadać sąsiedzkim stosunkom z Litwą taki kierunek, aby adżyły wszystkie tradycje wielowiekowego braterstwa i wspólnej potęgi obu tych państw i narodów.

JESZCZE ODEZWA EPISKOPATU.

PISZĄC O ODEZWIE episkopatu polskiego w sprawie wyborów, wspomnieliśmy, że cel tej odezwy nie jest zbyt jasny, że nasuwa ona przypuszczenie, jakoby episkopat chciał w ten sposób oznajmić, komu należy, że głos jego w kampanii wyborczej posiadać będzie bardzo duże znaczenie i że wystąpi we właściwym czasie, jeśli zajdzie potrzeba, z interpretacją kogoś mianowicie, jakie stronnictwa, względnie jaki numer listy wyborczej należy uważać za katolicki i narodowy. W odezwie bowiem ograniczono się do ogólników, do wezwania, aby katolicy szli do wyborów ławą, aby nie dzielili się i nie osłabiali obozu katolickiego i narodowego.

Skutków swej odezwy episkopat, zdaje się nie przewidział. Nie przewidział chyba tego, że odezwa ta, prawie nazajutrz po jej opublikowaniu, stanie się argumentem, który nie jednoczy, lecz jaknajbardziej i jaknajradzykalniej dzieli. Bo przecież nie można uważać za objaw jednoczenia tego co się dookoła tej odezwy dzieje. Niema stronnictwa, poza wyraźnie klasowymi i radykalnie lewicowymi, któreby nie głosiło, że ono właśnie jest tem, które autorowie odezwy mieli na myśli, że ono właśnie w najwyższym stopniu posiada kwalifikacje katolickie i narodowe.

Pierwsza dla siebie anektowała odezwę biskupów Narodowa Demokracja. A ponieważ obóz ten niema wielkich nadziei, aby jakiegokolwiek stronnictwo poszło z nim w nie do wyborów, jeśli wystąpi pod wyraźną swoją firmą, spowodowało, że szereg osobistości, które w najgorętszych walkach partyjnych dotychczas udziału nie brały, wydał odezwę, w której nawołuje do zastosowania się do wskazań biskupów i jednoczenia się dookoła nich w celu stworzenia katolicko-narodowego komitetu wyborczego i wystawienia list z nazwiskami takich kandydatów, którzy w zupełności odpowiadałyby kwalifikacjom, żądanym przez episkopat.

W ten sposób pierwsza Narodowa Demokracja wyzyskała odezwę biskupów do pod-

jęcia próby stworzenia czegoś w rodzaju ośsemki z poprzednich wyborów, ale tym razem nie pod swoim patronatem, lecz pod patronatem kościoła.

Z drugiej strony Prawica Narodowa stara się udowodnić, że episkopat, publikując odezwę, daleki był od myśli przyczynienia się do powstania bloku opozycyjnego, a za taki należy przecież uważać każdy blok, który powstanie przy udziale narodowej demokracji i głównie sympatyków narodowej demokracji na swoich listach kandydatów umieści.

Tak jak sprawa przedstawia się obecnie, stanowczo bardziej logiczną jest interpretacja Narodowej Demokracji i bardzo sprytną, ponieważ również logiczną, jest sposób, w jaki Narodowa Demokracja zaczyna odezwę episkopatu dla swoich celów wyzyskiwać.

Tego, zdaje się, episkopat nie przewidział. Nie przewidział tak natychmiastowego podjęcia i praktycznego zużytkowania rzeczonych w odezwie ogólników hasel przez Narodową Demokrację, bo trudno u wierzyć, by w obecnych warunkach episkopatowi tak wiele zależało na tem, aby już na samym początku okresu przedwyborczego, stwarzać wygodną platformę dla akcji wyborczej tego obozu.

Zobaczmy w niedalekiej przyszłości, jak sobie episkopat z takim obrotem sprawy poradzi. Położenie nie jest łatwe. Jeżeli bowiem dzięki odezwie Narodowa Demokracja będzie mogła z powodzeniem rozwinąć swoją akcję w kierunku stworzenia bloku „Jedności katolickiej” tak jak w poprzednich wyborach stworzyła blok „Jedności Narodowej”, to dobre intencje odezwy, wydają w praktyce bardzo niedobre owoce. Do tego episkopat niewątpliwie nie zechce dopuścić. Ale z drugiej strony wystąpienie z drugą odezwą oznaczałoby wzmieszenie się kościoła bezpośrednio do akcji wyborczej, a to jest sprawa bardzo ryzykowna.

Charakterystyczne jest, że sfery rządowe w sprawie odezwy episkopatu nie żadnego stanowiska. Czyżby tam przewidziano, w jaki sposób potoczą się wypadki? Jeśli tak, to głuche milczenie sfer rządowych posiada bardzo wyraźną wymowę: „Czekajmy końca!”

NASTROJE PRZEDWYBORCZE.

GDY Z JEDNEJ STRONY czynione są gorączkowe przygotowania do wyzyskania nastroju, jaki wytworzyła odezwa biskupów w celu stworzenia pod firmą katolicką i tak jakby pod protektorem kościoła, bloku, który zgromadziłby w sobie wszystkie opozycyjne elementy prawicy, a więc Związek Ludowo - Narodowy, N. P. R. - prawicę, Piast, część stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego i zdobył dla siebie głosy nietylko tych wszystkich, którzy zajmują stanowisko wyraźnie niechętnie wobec rządu, ale także i tych, którzy dla różnych przyczyn okazują nazewną lojalność i życzliwość dla obecnego stanu, w duchu jednak woleliby, aby było inaczej — z drugiej strony, ze strony grup, popierających rząd, nie wystąpiono jeszcze z żadnym konkretnym planem.

Mówi się wprawdzie coraz częściej i coraz więcej o listach rządowych, ale im dłużej te rozmowy trwają, tem bardziej zaciera się pierwotny plan w tym kierunku. Najpierw bowiem listy rządowe pomyślane były jako listy kandydatów, wybranych przez najbliższy sztab polityczny szefa rządu bez stosowania jakiegokolwiek klucza partyjnego i bez dawania przewagi elementom, czy to o ideologii radykalnej, czy też zachowawczej. Obecnie, jak słychać, istnieje szereg nowych koncepcyj co do takich list rządowych, mniej lub więcej oddalonych od pierwotnej zasady. Spodziewać się jednak należy, że w najbliższej przyszłości dotczymy się jakichś decyzji. Odezwa episkopatu wywołała bowiem sytuację, jakiej nikt może się nie spodziewał i wobec tej sytuacji trzeba będzie zająć stanowisko wyraźne.

Treść numeru:

SPRAWA LITEWSKA.
JESZCZE ODEZWA EPISKOPATU.
NASTROJE PRZEDWYBORCZE.

LEKCJA P. DEWEY'A. Inż. Jan Oberfeld.
SFERY GOSPODARCZE WOBEC WYBORÓW. K. Tyr.

SZKOLNICTWO W ROSJI SOWIECKIEJ. L. Ro-a.

O WYRAZ POLITYCZNY DLA ROZWOJU TECHNICZNEGO. J. Krasicka.

LIST Z PARYŻA. K. Smogorzewski.

JAK OSIĄGA SIĘ SUKCESY I POWODZENIE. OL

POLACY W MARYNARCE STANÓW ZJEDNOCZONYCH. K. P.

BUDOWA TEATRU W ŁODZI. I. L.

PRZED REFORMĄ SYSTEMU PODATKOWEGO. M. B.

POLEMKA O ŻŁOBKI. Z. W.

FATA MORGANA. J. Ejsmond.

ZWYCIĘSTWO. H. Naglerowa.

KARJERA POETY OLIMPOWSKIEGO. J. Jankowski.

TEATRY WARSZAWSKIE. I. W.

TEATRY ŁÓDZKIE. emb.

JAN ORTH. I. W.

RYNEK PIENIĘŻNY I GIEŁDA. Awil.

KRONIKA GOSPODARCZA.

JEŻELI WYBORY mają się rzeczywiście odbyć, to stanowisko, jakie wobec nich zajmie rząd, będzie musiało być bardzo jasne i bardzo wyraźne, aby wytrąciło opozycję zarówno z prawej jak i z lewej strony broń z ręki. Opozycja z prawej strony zamierza wyzyskać do akcji wyborczej odezwę episkopatu i wystąpić tym razem w roli obrońcy zagrożonej religii i kościoła, w roli tego obozu, który ma wystąpić do walki z „antychrystem” o wpływ decydujący religii na życie publiczne i zagadnienia społeczne. Opozycja z lewej strony występuje z hasłami obrony interesów proletariatu, rzekomo także zagrożonych przez wpływ kapitalistów i obszarników, które to wpływy sięgają rzekomo aż do Belwederu.

Nie należy się ludzi, że ewentualne miarodajne skomentowanie odezwy episkopatu w tym duchu, że w żadnym wypadku nie może ona być uważana za wezwanie do tworzenia bloku opozycyjnego, potrafi przerwać za częstą robotę. W tym celu potrzebne byłoby ze strony kościoła kroki, na które liczyć nie można.

Jeśli przeto wybory mają się odbyć, to cel ich powinien być jasno określony. A tym celem może być tylko naprawa ustroju przez naprawę konstytucji i ordynacji wyborczej.

Występując z hasłem naprawy ustroju, rząd będzie mógł powołać się na rezultaty swojej blisko dwuletniej działalności, które ma do zadowolenia tylko temu, że umiał i potrafił omijać i usuwać z drogi kamienie wadliwego ustroju, że umiał w razie potrzeby interesowi państwa dawać pierwszeństwo przed literą konstytucji, że tam, gdzie należało wybierać między wolą posła Między, Maślanki i t. p. a interesem Rzeczypospolitej jako państwa, wybierać mógł zawsze tylko interes państwa, nie ryzykując przytem, że na drugi dzień z woli tych obrażonych posłów będzie musiał podać się do dymisji.

Seymowładztwo, tyłoma przepisami i paragrafami obwarowane w konstytucji, ciążyło jak zmora nad społeczeństwem. Popularność swoją i zaufanie zawdzięcza rząd w lwiej części temu, że społeczeństwo od tej zmyrowolności. Pożyczka amerykańska, polepszenie się sytuacji gospodarczej i szereg innych sukcesów dotychczasowej działalności rządu, gruntują tylko i rozwijają tę popularność i to zaufanie. Są czynnikami drugorzędnymi. Każdy bowiem, nawet najprostszemu umysł zdaje sobie sprawę z tego, że bez ograniczenia sejmowładztwa, bez odwagi poświęcenia litery dla wymagań życia, sukcesy te nie byłyby osiągalne.

Spółeczeństwo niczego więcej nie pragnie jak utrwaleńia obecnego stanu rzeczy i uniezależnienia go od jednostki. Niczego nie obawia się tak, jak powrotu dawnych nieszczęsnych stosunków. To też jeśli w kampanii wyborczej rząd wystąpi z wyraźną zapowiedzią, że zdecydowany jest stan obecny utrwalić w konstytucji, jeśli wyborca dowie się, że sejm nowy nie inno nie będzie miał do roboty jak tylko zalegalizowanie nowego projektu konstytucji, to chociażby pojawiło się jeszcze sto takich odezw jak odezwa episkopatu, głosować będzie na listę, o której wyraźnie będzie, że ludzie, którzy na niej figurują w obronie sejmowładztwa, pod żadnym warunkiem nie wystąpią.

ODPOWIEDZIEĆ MOŻNABY na to, że grupy opozycyjne także przeciw występują z hasłami ustrojowymi. I rzeczywiście tak jest. Rodzący się blok jednostki katolickiej, hasła ustrojowe wysuwa na czoło swego programu, zmianę konstytucji i ordynacji wyborczej nazywa pierwszym obowiązkiem nowego sejmiku — tak samo klasowe stronnictwa lewicy proklamują jako jeden z głównych swoich postulatów zmianę szeregu przepisów konstytucyjnych.

Tak jest, hasła ustrojowe będą poza katolickimi najważniejszymi hasłami w nadchodzącej kampanii wyborczej. Ale jeżeli cała kampania przedwyborcza sprowadzona zostanie tylko do hasła ustrojowych, to przewaga rządu jest olbrzymia. Rząd może wykażać się czynami, a opozycja tylko frazesami.

Niemą dzisiaj nic bardziej niepopularnego w społeczeństwie jak zgasty sejm. Byli posłowie, zwłaszcza chłopci, znoszą tortury w postaci objawów powszechnego lekceważenia, docinków i drwin. To jest objaw bardzo charakterystyczny i świadczy bardzo wyraźnie o tym, jak głęboko zakorzeniło się w masach odczucie konieczności utrwalenia obecnego stanu rzeczy.

Dlatego sądzimy, że jeśli obecne wybory nie mają być tylko formalnością nad którą rząd tak samo przejdzie do porządku dziennego, jeśli wyników jej nie można będzie uzgodnić w pewnym momencie z interesem państwa, jak przechodził dotychczas nad wieloma innymi formalnościami — jeśli natomiast mają być rozstrzygającym krokiem na drodze ostatecznej naprawy ustroju Rzeczypospolitej, to powinny mieć charakter plebiscytu na temat, kto za zmianą konstytucji, a kto nie, zaś sejm nowy powinien mieć zgóry określony charakter konstytuancy, czyli zgromadzenia, powołanego do legalnego przeprowadzenia tej zmiany.

Lekcja p. Dewey'a

Coraz wyraźniej się staje, że do największych dla Polski korzyści, wynikających z osiągnięcia pożyczki zagranicznej, będzie należał udział we władzach Banku Polskiego p. Dewey'a, wybitnego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych.

Współpraca jego, niewątpliwie, daleka od wtrącania się w wewnętrzne nasze sprawy, przedewszystkiem będzie miała z pewnością olbrzymie znaczenie pedagogiczne. P. Dewey w roli doradcy niewątpliwie będzie miał sposobność rzucenia na zagadnienie gospodarcze promienia światła, które otrzeźwi niejedną umysł, zahipnotyzowany mrzonkami socjalistycznymi i wskaże właściwą i jedyną drogę rozwoju gospodarczego, prowadzącą do pomyślności narodu.

Dnia 9 b. m. na obiedzie wydanym przez prezesa Banku Polskiego p. Stanisława Karpińskiego na cześć p. Dewey'a, usłyszeliśmy pierwszą jego lekcję.

„W czasie moich niedawnych podróży do Europy — mówi p. Dewey — skonstatowałem ze zdziwieniem, że panuje tam przekonanie, iż dobrobyt zawdzięczamy tylko przypadkowi. Dobrobyt całego narodu nie może być zawdzięczany tylko kaprysom fortuny. Jest on rezultatem ciężkiej pracy i mądrych zasad ekonomicznych.

Użyłem wyrażenia „ciężkiej pracy”. Właściwie należałoby powiedzieć: zadowolenia z pracy, dążenia do pracy twórczej, pragnienia, aby dwa żdźbła pszenicy rosły tam, gdzie dziś rośnie tylko jedno, aby żaden dzień, żadna godzina nie były zmarnowane. Naród, który ożywny jest takim duchem, wszystko przekształca i jego nagrodą jest dobrobyt, zadowolenie i potęga.

Oczywiście te prawdy, wygłoszone przez p. Dewey'a, powinny przeniknąć każdego. Nie jest to jednak tak łatwe, jakby się zdawać mogło. Prawdy te są oczywiste, ale należą też do najbardziej niepopularnych. Wymagają one spełniania obowiązków i dopiero jako rezultat spełniania obowiązków obiecuje nagrodę w postaci dobrobytu. Ogół zaś, lubujący się w hasłach, dających nagrodę już dziś bez spełniania obowiązków, widzi te prawdy odwrócone do góry nogami. Dla ogółu droga do dobrobytu prowadzi przez zabranianie pracy ponad pewną szablonoową normę, nadmierne świętowanie, walkę klas, ubezpieczenia na wypadek wszystkich możliwości i niemożliwości i nie efemeryczne „zdobycze”, które nie mogą jednak przełamać żelaznych praw ekonomicznych i zamiast zbliżania do dobrobytu, zwiększają odległość od niego z dniem każdym. Mało kto myśli o tym, że na co zdadza się te wszystkie zdobycze, gdy zatamują one należyty rozwój życia gospodarczego, a robotnik, mając szereg humanitarnych ustaw i innych dobrodziejstw tego rodzaju, nie będzie miał... chleba.

Nie od tych dobrodziejstw trzeba zaczynać.

Życie gospodarcze wobec wyborów i wobec zagadnień politycznych

Niezmiernie trudna jest sytuacja sfery gospodarczej wobec nadchodzących wyborów, bo prawie bez wyjścia. Jeśli bowiem znajdzie się jakieś wyjście, to będzie to skromniutka furtka z czyjejs łaski, a warunki skorzystania z niej zostaną prosto podyktowane.

Z tego sfery gospodarczej, a przynajmniej jednostki kierowniczej, zdają sobie doskonale sprawę. Szkoda tylko, że dopiero teraz, że nie starano się przewidzieć tego wcześniej i nie uczyniono nic, aby na taki przypadek się przygotować.

W ostatnim numerze „Przeglądu Gospodarczego” (Nr. 23 z dnia 15 grudnia b. r.) znajdujemy artykuł p. Andrzeja Wierzbickiego, naczelnego dyrektora Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górniczego, Handlu i Finansów (Lewiatana), zatytułowany „Życie gospodarcze w obliczu zagadnień politycznych”. Jest to na szpaltach tego oficjalnego organu „Lewiatana” pierwszy głos, wskazujący na konieczność znalezienia politycznego wyrazu, politycznej ideologii dla życia gospodarczego. Dotychczas bowiem na szczytach naszych sfer gospodarczych panowało powszechne przekonanie, że polityka powinna być w sferach gospodarczych tem, o czym się głośno nie mówi, że jest to rzecz osobistych przekonań każdego poszczególnego przemysłowca czy kupca, która w żadnym sposobie nie może kolidować z wykalkulowanymi celami gospodarczymi. Działalność polityczna zrzeszeń gospodarczych miała tylko jeden cel: badanie koniunktury politycznych i stwierdzenie, jakie w danej chwili czynniki polityczne posiadają wpływ decydujący, względnie jakie czynniki w danej sprawie posiadają największy głos i obmyślanie sposobów najsukcesyjniejszego wpływu na te czynniki w interesie postulatów życia gospodarczego.

W chwilach krytycznych, w takich chwilach jak np. wybory do sejmiku, gdy nie można było przewidzieć, jak się stosunki ułożą i czyje względy i poparcie będzie najsukcesyjniejsze, starano się pozyskać ludzi w najróżniejszych obozach, względnie starano się wyzyskać koneksje polityczne swoich własnych ludzi i skłonić ich do starania się o mandat poselski w tych stronnictwach, z którymi sympatyzowali, względnie do których, jako członkowie należeli.

W ten sposób w ostatnim sejmie mieliśmy przedstawicieli życia gospodarczego, ludzi, którzy doskonale rozumieli konieczność życia gospodarczego i w całej rożności uznawali je w interpretacji naczelników organizacji gospodarczych prawie we wszystkich stronnictwach. Ludzie ci starali się w swoich stronnictwach i klubach o to, aby zbyt lekko nie poświęcano zagadnień gospodarczych i społecznych w targach i kombinacjach politycznych i pod tym względem wiele dobrego zrobili.

Ludzie ci nie odgrywali bynajmniej jakiejś dwuznacznej roli. Byli to ludzie, którym ciasna platforma życia gospodarczego nie wystarczała, których zainteresowania i ideologia wybiegały poza ciasny krąg zagadnień gospodarczych i ogarniały szersze horyzonty: całość zagadnień państwa i narodu. Każdy z takich ludzi czuł, oczywiście do takiego obozu politycznego, który najlepiej odpowiadał jego politycznym zapatrywaniom. Różnił się może od swych kolegów partyjnych sposobem pojmowania i oceniania zagadnień i zjawisk gospodarczych, ale pod tym względem pojęcia wśród naszych stronnictw są tak nieskrystalizowane, tak prymitywne, a hasła programowe tak ogólnikowe, że porozumienie zawsze mogło być osiągnięte o ile oczywiście nie wchodziły w grę przeszkody taktyczne, t. j. zobowiązania i umowy międzyklubowe, dokonane kosztem przesądzenia jakiejś sprawy gospodarczej.

Najpierw, przy ogólnej harmonii i współdziałaniu, trzeba wziąć się do pracy z myślą, że im wydajność jej i ilość będą większe, tem więcej przypadnie, owoców pracy dla każdego oddzielnie i wszystkich razem.

Reszta — przyjdzie sama.

Tę drogą szła Ameryka, a rezultat tego dziś podziwiał świat cały. Jest pewne, że droga ta nie jest wynikiem jedynie warunków amerykańskich, lecz że może mieć zastosowanie wszędzie, bo wynika ona z elementarnych ogólnych zasad ekonomicznych. Dyktuje ją zdrowy rozsądek.

Zasady, które p. Dewey przedstawił w tak lapidarny sposób, głosi u nas od szeregu lat „Liga Pracy”, nie znajdując jednak należytego oddźwięku w społeczeństwie. Być może, iż trzeźwe słowo obcego człowieka znajdzie lepsze zrozumienie.

Inż. Jan Oberfeld.

W takich wypadkach posłowie tacy wstrzymywali się od głosowania o ile nie musieli ulec względem karności klubowej.

* * *

Tak było dotychczas, bo tak było najwygodniej. Wśród takiego rozproszkowania politycznego, jakie dotychczas istniało u nas, a przy którym każda kombinacja była możliwa, reprezentacja gospodarcza nie mogła opierać się na jednym stronnictwie i musiała stosować taktykę jaknajbardziej wszechstronnej asekuracji. W pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości nie można było również myśleć o stworzeniu stronnictwa politycznego, któreby w programowej swojej części reprezentowało ideologię gospodarczego rozwoju Polski w ramach ustroju kapitalistycznego. Z jednej strony sfery gospodarcze zbyt były zajęte odbudową produkcji i przystosowywaniem jej do nowych zupełnie warunków, by mogły myśleć o tworzeniu frontu politycznego, a z drugiej strony wystąpienie z programem politycznym umiarkowanym pod każdym względem i stosowanie zasady umiarkowania przy każdej sposobności i w każdej sprawie nie dawało żadnej nadziei powodzenia. Znajdowaliśmy się przecież w okresie walki wszystkich przeciw wszystkim i na ideologię pokoju i umiarkowania miejsca nie było. Byliśmy zresztą świadkami kompletnego bankructwa wszystkich podobnych prób.

Od maja ubiegłego roku wiele się jednak pod tym względem zmieniło. I tu sferom gospodarczym trzeba wytknąć, że w tych zmienionych warunkach natychmiast się nie zorientowały. Zrozumiano wprawdzie błyskawicznie, że wszystkie wpływy przeniosły się z sejmiku do gmachów rządowych i zaczęto natychmiast starania w kierunku nawiązania kontaktu z rządem, ale nie zrozumiano, że powstała równocześnie możliwość sformułowania politycznego wyrazu dla życia gospodarczego, możliwość stworzenia stronnictwa politycznego o takim programie, któryby znalazł oddźwięk i zrozumienie w masach, któryby zapełnił pustkę, jaka niewątpliwie istnieje na środkowym odcinku frontu politycznego, a której niezapełniają w zadowalniający sposób ani patrole lewego i prawego skrzydła, ani przygodne grupki różnych wolontariuszy. Puste to miejsce czeka na tych, którzy potrafili wyrazić, jasno i głośno wyrzec szereg słów, które dotychczas wyklęte są ze słownika programów politycznych, a których omówieniami, chociażby najsprytniej skonstruowanymi, zastąpić niepodobna. Te słowa cisną się na usta tysiącom, stanowią dotkliwą bolączkę, a niekiedy tragedję całych grup społecznych.

Tej możliwości sfery gospodarcze nie dostrzegły. Dostrzegają ją dopiero teraz. Przeczytajmy, co pisze o tem p. Andrzej Wierzbicki:

...czynniki gospodarcze muszą szukać dróg dla oddziaływania na nurty opinii społecznej. Potrafiliśmy już stworzyć drogi kontaktu z Rządem w sprawach gospodarczych, ale nie zorganizowaliśmy jeszcze organów oddziaływania na opinie szeroki mas.

Oddziaływanie takie autor uważa za konieczne, gdyż każdy rząd liczyć się musi przede wszystkim z nastrojami mas. Gdyby bowiem chciał się im przeciwstawiać na całej linii fala oburzenia pochłonięłaby go.

...Rząd musi zdawać sobie sprawę z hasel najpopularniejszych w narodzie i za niektórymi z tych hasel podążać, aby móc się przeciwstawić innym hasłom i na innych odcinkach prądu swoją wolę narodzić narzucić. Opanowując poszczególne odcinki, można skierować cały prąd na inne drogi, ale nie można stawiać oporu od razu na całym nurcie woli narodu, bo wtedy nurt ten zalewa, zmywa i następuje przewrót i rewolucja.

Dlatego wszystkie rządy i parlamenty liczą się z hasłami popularnymi.

Autor nie podaje sposobu, w jaki sposób sfery gospodarcze mają dążyć do takiego oddziaływania na masy. Wylicza natomiast kilka sposobów:

Różne są przed nami drogi. Możemy, jak przy poprzednich wyborach, iść z temi stronnictwami, z którymi ci lub inni z nas mają zbliżoną ideologię polityczną.

Tego sposobu nie radzi jednak obrać. I słusznie, jeżeli sfery gospodarcze szczerze współpracowały z rządem, nie mogą obecnie wchodzić w porozumienie z partiami, tembardziej, że te partie, które wchodziłyby w rachubę przeważnie niezbyt przychylnie w stosunku do rządu zajmują stanowisko.

Możemy dążyć do stworzenia własnego stronnictwa podobnie jak inne kraje, które w swoich parlamentach posiadają stronnictwa polityczne o wyraźnym obliczu gospodarczym. Są to stronnictwa równorzędne co do ideologii z organizacjami życia gospodarczego, ale nie są ich tożsamością, gdyż obejmują szersze warstwy społeczne aniżeli te organizacje i, oczywiście, szerszy zakres zainteresowań, ogarniają swoją ideologią całość zagadnień swego narodu, a nie tylko zagadnienia gospodarcze.

I na dalszą metę sfery gospodarcze powinny wytworzyć taką pełnię swego życia.

Na najbliższą metę, na nadchodzące wybory autor nie widzi żadnego sposobu. Możliwość stworzyć gospodarczy komitet wyborczy, ale bez wyraźnej ideologii politycznej blok taki ani jednego mandatu nie otrzyma, bo sejm jest instytucją polityczną, zaś przegrana mogłaby być przyjęta jako bankructwo kapitalistycznych hasel gospodarczych w narodzie. Takie ewent. połączenie się z grupami ziemianскими wzmianki godnego rezultatu nie da. Więc co robić?

Na to autor odpowiedzieć nie potrafił. A jednak coś trzeba robić.

Ponieważ z całego cytowanego w kilku urywkach tego artykułu wynika, że sfery gospodarcze mają bezwzględne zaufanie do rządu i jego dobrej woli w traktowaniu zagadnień gospodarczych, należy ponieść konsekwencje tego zaufania. A to stać się może tylko w ten sposób, że przyłączą się do ewentualnej akcji rządowej w czasie wyborów, jakkolwiek ona będzie.

Autor wyraźnie mówi, że rządy muszą się liczyć z hasłami popularnymi i nastrojami mas. Niewątpliwie i rząd w ewentualnej swojej akcji wyborczej z tymi nastrojami i z takimi hasłami liczyć się będzie musiał. Sfery gospodarcze nie będą mogły wymagać, aby czynił inaczej, chociażby nawet większe korzyści w postaci mandatów ze swego przyłączenia się do rządowej akcji wyborczej nie miały.

Ale niezwłocznie i natychmiast powinna być rozpoczęta praca w innym kierunku — w kierunku szukania sposobu oddziaływania na masy. Sfery gospodarcze w dziedzinie ideologii politycznej mają sposobność wyzyskania bezcennych hasel, których dotychczas nikt nie miał odwagi wyzyskać. Ze sfery gospodarczej powinna wyjść nowa, współczesna, krystalizująca się w warstwach produkcji polskiej ideologia polityczna. Ideologia polityczna młodego, budzącego się do życia mocarstwa polskiego. Ideologia opartej o przepiękne tradycje kulturalne i cywilizacyjne młodej demokracji polskiej, stojącej do wyścigu z najpotężniejszymi demokracjami świata o zaszczyt przodownictwa w cywilizacji. Ideologia solidarności społecznej w imię świętego celu: rozstawienia imienia Polski i stworzenia siły, dla której żaden cel nie byłby zbyt odległy, żaden nieosiągalny. Ideologia polskiej pracy, polskiej przedsiębiorczości, polskiej myśli i polskiego postępowania.

Sfery gospodarcze powinny dać impuls, aby te tajone marzenia, budzące dreszcz dumnej rozkoszy w każdej piersi obywatela polskiego, stały się publicznym wyznaniem wiary, aby pękły raz wreszcie obreć pesymizmu i zwątpienia we własne siły, każące nam głowy uchylić przed obcymi.

K. Tyr.

NORA

NORA

NA GWIAZDKĘ
najpiękniejszy podarek

RADJO-
APARAT
SŁUCHAWKI

NORA

NORA

Szkolnictwo w Rosji Sowieckiej

Pedagog amerykański Scott Nearing, zainteresowany się szkolnictwem Rosji Sowieckiej zbadał kwestję na miejscu; produktem jego badań jest książka „Wychowanie w Rosji Sowieckiej” (Education in Soviet Russia by Scott Nearing, London), w której Nearing daje obraz szkolnictwa rosyjskiego, porównawszy od okresu przedrewolucyjnego, a skończywszy na najwyższych instytucjach naukowych.

Do dnia dzisiejszego szkoły sowieckie są laboratoriami doświadczalnymi. Nie mają żadnego określonego systemu, skutkiem czego każda szkoła jest inna, chociaż wszystkie dążą do tego samego celu. Intensywna praca w dziedzinie reformy nauczania datuje się od chwili wybuchu rewolucji rosyjskiej, t. j. począwszy od r. 1917. Odtąd pedagogowie rosyjscy zajęli się najnowszymi prądami wychowawczymi w Europie, przetłumaczyli najlepsze dzieła pedagogiczne i zapoznali się z najnowszymi metodami nauczania.

Od czasu rewolucji francuskiej — pisze Nearing — pedagogowie na całym świecie nie mieli tyle swobody w kształtowaniu swojej pracy stosownie do współczesnych potrzeb społecznych co w Rosji. W chwili obecnej pedagogowie rosyjscy zastanawiają się nad tem: 1) jakie są te potrzeby społeczne i 2) w jaki sposób można je najlepiej zaspokoić.

Zasadniczy schemat organizacji szkolnictwa w Rosji przedstawia się następująco:

1) Wychowanie przedszkolne od 3—8 roku życia.

2) Szkoły powszechne od 8—18 względnie 19 roku. mianowicie: a) szkoła elementarna do 15 roku; b) szkoła zawodowa do 18 lub 19 roku. Do tej grupy należą też szkoły fabryczne.

3) Wyższe szkoły techniczne dla specjalistów (lekarzy, inżynierów, pedagogów i t. p.).

4) „Instytuty” czyli laboratoria, w których kształcą się przywódcy nowego porządku społecznego.

Ad 1) Władze wychowawcze biorą w Rosji odpowiedzialność za dziecko już od 3-go roku życia. Do 8-go roku dziecko wychowuje się w ogródku dziecięcym, a dopiero w 8-ym przechodzi do szkoły elementarnej. Ale pedagogowie rosyjscy dotychczas mało poświęcali czasu wychowaniu przedszkolnemu, kładąc przedewszystkiem nacisk na rozwój szkół elementarnych, zawodowych i na usunięcie analfabetyzmu. Ogródki dziecięce rozwijają się prawie przy wszystkich większych fabrykach. Celem ich jest zapewnienie dzieciom miłego otoczenia, dać sposobność do zabawy, dobrze je odżywiać i pomagać im matkom-robotnicom. Dzieci zajmują się śpiewami, rysunkami i robotkami, urządzają wycieczki, zapoznają się ze swym otoczeniem i prostszymi formami życia społecznego.

W 8 roku życia dziecko wstępuje do szkoły elementarnej, t. zw. szkoły wychowania społecznego, która dzieli się na dwa oddziały. W pierwszym dziecko przebywa do 12 roku, drugi kończy w 15 lub 17-ym roku, gdyż zarazie nierozstrzygnięta jest jeszcze kwestja, czy specjalizacja ma następować od 15 czy od 17 roku życia. 87,5 proc. szkół elementarnych znajduje się po wsiach. Przeciętna wiejska szkoła elementarna jest bardzo źle wyposażona i walczy z trudnościami, ponadto dzieci nie uczęszczają do szkoły regularnie z powodu żniw, posług domowych itd. Nearing zwrócił wiele szkół i rozmawiał z nauczycielami o wartości nowych metod nauczania. Jedna nauczycielka powiedziała mu, iż metoda obecna, która polega przede wszystkim na obserwacji otoczenia i porównywaniu o wiele przewyższa starą, która była pracą zupełnie mechaniczną. Ale przytem wymaga ona, by nauczyciel przemawiał i przygotował każdorazowo nową lekcję. Inna szkoła wiejska miała jedną klasę „wzorową”, w której odbywała się nauka według nowych metod. Pierwsze tygodnie nauki, zaczęte z końcem września, poświęcone były roślinom i obserwacjom pogody jesiennej. Te dzieci nigdy nie były w ogródkach dziecięcych; zamiast zacząć naukę z książek, zaczęły ją z życia — z życia wsi i jesieni.

Szkoły elementarne w miastach są podobne, pod względem zewnętrznego urządzenia, do nowych szkół amerykańskich, prowadzonych według systemu Daltonskiego. Różnią się jednak od nich w metodach nauczania na niższych stopniach. Oto np. tak zw. bezksiążkowa metoda pracy. Nauczyciel wypowiada zdanie: „chłopiec i pies”. Dzieci rysują psa i chłopca, a w miejsce słowa, którego nie umiały przedstawić rysunkiem, dają myślnik. Tak samo postępują z czasownikami.

Podczas pierwszych tygodni praca dzieci polega na przedstawianiu przy pomocy rysunku słów i zdań i dopiero gdy sobie wytworzą pojęcie zdania, zaczynają się uczyć

pisać. Na wysokim poziomie stoi szkoła w czterdziestotysięcznym Stalinowie. Jest ona wyposażona w niezbędne utensylia i każdy przedmiot ma wyznaczoną inną salę. W każdej sali dzieci pracują nad jakimś zagadnieniem, wziętem z życia społecznego. I tak najmłodsze dzieci zastanawiają się np. nad życiem w domu i najbliższem sąsiedztwie. Drugi rok szkoły obejmuje życie w mieście; trzeci — w danym okręgu. Tematem czwartego roku nauki jest życie w całej danej okolicy. W piątym roku dzieci zaznajamiają się z życiem społecznym w całej Rosji. W następnych latach studjują stosunki ekonomiczne i handlowe w całym świecie. Samorząd gra tu wielką rolę, jeśli chodzi o rozwój uczuć społecznych dzieci i o przygotowanie ich do życia w społeczeństwie, dzieci bowiem, które się nie nadają do życia społecznego są uważane za anormalne.

Drugi stopień nauczania — to szkoły zawodowe. Celem ich jest wykształcić pożytecznych i inteligentnych robotników. Czas trwania nauki w tej arcy szkole wynosi 3—4 lata. Szkoły te dzielą się na 3 główne typy:

1) Szkoły agronomiczne — przeważnie w centrach rolniczych.

2) Szkoły miejskie, poświęcone zawodom, które łączą się z handlem, przemysłem, naukami społecznymi i pedagogiką.

3) Szkoły fabryczne, zakładane przy fabrykach. Tu uczniowie spędzają połowę czasu w fabryce, a połowę w szkole. Kładzie się tu również wielki nacisk na nauki społeczne. Uczniowie szkół zawodowych są w wieku od lat 14—20, podobnie jak i w zakładach amerykańskich. Różnica jest jednak ta, iż uczniowie mają tu samorząd, biorą udział w administracji szkoły i często należą do partji.

Trzeci stopień nauczania — to wyższe szkoły techniczne, które są przeznaczone dla specjalnie uzdolnionych w jakimś kierunku. Dzielą się one na 6 głównych grup: 1) szkoły medyczne (jest ich 66); 2) szkoły pedagogiczne (336); 3) szkoły rolnicze (152); 4) szkoły przemysłowe (219); 5) szkoły nauk społecznych (53); 6) szkoły muzyczne i sztuk pięknych (92). We wszystkich tych szkołach uczniowie pracują przeważnie w laboratoriach. Metodę wykładów prawie zupełnie zarzucono.

Na dosyć wysokim poziomie stoi wyższa szkoła techniczna w Stalinowie. Uczniowie, którzy tu wstępują, muszą się wykazać przynajmniej jednoroczną praktyką prócz tego muszą podczas trzechletnich studjów, przynajmniej 1 dzień w tygodniu i wakacje letnie poświęcić pracy w pobliskich fabrykach lub kopalniach. Po ukończeniu studjów w szkole technicznej, każdy musi rok lub dwa praktykować i dopiero gdy władze z kopalni lub fabryki i władze szkolne są z niego zadowolone, otrzymuje dyplom inżynierski. Podobnie łączy teorię z praktyką we wszystkich wyższych szkołach zawodowych, aby usunąć dualizm, który panował poprzednio w nauczaniu, kiedy uniwersytety dawały samą teorię, a szkoły zawodowe — samą praktykę. Uniwersytety, które powstały wtedy, gdy cała wiedza można było znaleźć w książkach i nie było jeszcze pracowni, ani laboratoriów, zatraciły dawny charakter najwyższych uczelni. Teraz mury uniwersytetów stały się za ciasne dla studjów. Uniwersytety wysyłają swych medyków na naukę do szpitali, a techników do fabryk.

Najwyższymi zakładami naukowymi w Rosji są „Instytuty” (laboratoria). Zadaniem ich są badania naukowe i rozwiązywanie różnych problemów. Największym z dotychczasowych jest „Instytut Pawłowa” w Leningradzie, poświęcony studjom psychologicznym, który obok Instytutu Pasteura i Rockefellera jest największy na świecie. Inne Instytuty są poświęcone kwestjom społecznym, medycynie i naukom przyrodniczym. W Moskwie znajduje się Instytut, w którym kształcą się nauczyciele nauk społecznych.

Kandydaci do Instytutu muszą przygotować pracę na podobne tematy, jak „Marks i Ricardo”. Stosunki dyplomatyczne amerykańsko - angielskie i t. p. Gdy praca zostanie przyjęta, muszą zdać egzamin z czterech przedmiotów, a mianowicie: z ekonomji, filozofji, historii Zachodu i historii rosyjskiej. Teraz dopiero wstępują na trzyletni kurs do Instytutu. Tu pracują systematycznie w danym kierunku, a praca skupia się w seminarjach, złożonych co najwyżej z 15 osób. Każdy student podczas pobytu w Instytucie otrzymuje miesięcznie 130 rubli, a w zamian za to wymaga się od niego, aby: 1) przynajmniej 4 godziny tygodniowo uczył robotników w fabryce, 2) aby przez pierwszy rok uczył przynajmniej 6 godzin tygodniowo w jakiejś szkole elementarnej lub fabrycznej, 3) w drugim i trzecim roku musi uczyć w ja-

Szukanie politycznego wyrazu dla rozwoju technicznego

Teorje francuskiego faszyzmu

Nie tak dawno jeszcze powszechnem było mniemanie, że przeciętny obywatel francuski, a przedewszystkiem francuski chłop, jest obojętny wobec takiej, czy innej formy ustroju, byle w kraju panował porządek. Że ten przeciętny obywatel nie chce żadnej zmiany, żadnego przewrotu, bo się boi wszelkiej nowości. O tym biernym konserwatyzmie mas francuskich znaleźć można szereg zdań francuskich pisarzy politycznych w ciekawym „Dyktatorze” prof. Wędkiewicza.

Jerzy Valois, znany publicysta, który po dwudziestoletniej pracy w „Action française” z żarliwego rojalisty stał się zawziętym republikaninem o swoistem zabarwieniu, posiada o tej sprawie sąd, od dotychczas przyjętych, odmienny. Ten wódz francuskich faszystów, odziany w niebieskie koszule, odbył w ciągu ubiegłego lata pieszą wędrówkę od Paryża do Lourdes. Badał w ciągu swej podróży nastroje wsi. Rozmawiał z gospodarzami wiejskimi i robotnikami. Wrażenia z tych rozmów opisał żywym, namietnym stylem w swym orgarie „Nouveau siècle”.

Przez pryzmat własnego programu, własnych pragnień i dążeń patrzy Valois na wieś francuską i widzi w niej te zmiany, które widzieć pragnie, ale program jego — nie wdajemy się w ocenę z punktu widzenia wykonalności czy doskonałości — odznacza się dużą jasnością, a poglądy znane są oddawna, jako oryginalne i silne. Oświetlenie to, przez podkreślenie konturów pokazywanego zjawiska i rzucenie nań płam ostrego blasku ułatwia, zwłaszcza zdaleka patrzącemu widzowi, przyjrzenie się społeczeństwu francuskiemu i to tej jego części, o której poza Francją wie się najmniej.

Stwierdza więc Valois, że stoimy u wrót jednego z największych wydarzeń historii współczesnej, przed rozpoczętą już „rewolucją wśród chłopstwa”, która zmieni całkowicie warunki życia wsi, przekształci obyczaje, życie umysłowe i polityczne. Twórcami tej rewolucji nie będą jednak ideologowie nowego jakiegoś przewrotu, lecz wynalazcy. Nowy program społeczny będzie tylko rezultatem postępu technicznego.

Przez wieki całe pracownik rolny żył zdala od wielkich skupień, własnym, odrębnym życiem. Koleje żelazne nie zmieniły tego. Tylko osiedla, sąsiadujące bezpośrednio z liniami kolejowymi i stacjami, zmieniły i to bardzo nieznacznie swój charakter i fizjognomję. Przewrotu dokonała tutaj wojna, dla której człowiek poczynił tyle wysiłków umysłowych i fizycznych. Wojna przyspieszyła rozwój techniki i zapoznała szerokie masy z jej użytecznością. Zdobyte wojenne służą teraz pracy pokojowej. „Telegraf, radio i elektryczność, oto dzięki czemu wsie, wszystkie wsie są pod wszystkimi względami o dzień drogi tylko oddalone od Paryża. Są w ciągłej, codziennej łączności z Paryżem, z całym światem. A równocześnie maszyna wnosi do warunków pracy rolnej przemianę, jakiej od wielu wieków nie widziano. A za tem idzie niesłychany przewrót w pojęciach, obyczajach, warunkach życia. Udział wsi we wszystkich wzruszeniach miast stawać się będzie coraz to bardziej bezpośredni, codzienny. Szybkie rozpowszechnienie nowych udogodnień technicznych zmusi do coraz to silniejszej intelektualizacji życia wiejskiego. Jest to rewolucja ekonomiczna, społeczna i polityczna, gdyż koniecznym dopełnieniem tej przemiany będzie powszechna syndykalizacja wsi...”

Po stuleciach cywilizacji konia i wołu przysła cywilizacja nafty i elektryczności. A wieś najmniej jest do tej zmiany przygotowana. Nieodpowiednie są do nowego systemu pracy ani ciemne, zadymione chaty, — ani prymitywne sposoby uprawy roli przy pomocy niewielkiej ilości narzędzi, ani drogi wyboiste, ani wykształcenie przeciętnego chłopca. Chłop, poznawszy na froncie maszy-

nę, chce ją mieć u siebie, ale jeszcze nie zawsze umie się z nią obchodzić. Brak warsztatów w pobliżu, gdzieby można zepsuta naprawić, wywołuje niezadowolenie. Pieńdz płyne do jego kieszeni, ale on nie umie nim obracać i błaka się wśród dzisiejszych zagadnień finansowych. A drogami, pełnymi aut, przebiega wciąż przed jego chatą ponętna cywilizacja. Chłop chce się do niej zbliżyć, chce więc wydobyć z ziemi jaknajwięcej grosza. I czuje, że tę zmianę konieczną i nagiącą w ustroju pracy rolnej można przeprowadzić tylko wysiłkiem zbiorowym. I dlatego czętnie widzi socjalistów i komunistów, którzy mówią mu o rezultatach pracy zbiorowej.

Według Valois domaga się ten chłop „polityki maszyn”, „pomocy nowego życia”. Oto punkty główne tego programu: „naprawa stosunków mieszkaniowych przy współpracy gmin, właścicieli, związków i banków; naprawa systemu eksploatacji metodami syndykalistycznymi; naprawa dróg; nowa organizacja wsi; zupełna reorganizacja początkowego nauczania dla wsi; organizacja w powiatach centrów wyszkolenia mechanicznego i elektrotechnicznego”.

Obszerny ten program wydaje się być wyłącznie praktycznym. Niema tu żadnego z tych zdań pięknie brzmiących, które przywykliśmy odnajdywać we wszystkich programach reformatorskich od tylu już lat. Ale gdy te punkty praktyczne zestawimy, gdy je połączymy wspólną nicią przewodnią, okaże się i tu jakaś idea. Jest nią myśl o wysiłku zbiorowym, o wprowadzeniu udogodnień pracy przy pomocy tego wysiłku. A więc udogodnienia pracy, a nie żądanie zmiany w podziale bogactw. Nowe bogactwa — dobrobyt uzyskane być mają przez bardziej wyteżoną, lepiej zorganizowaną, a więc bardziej wydajną pracę. Budowanie, a nie burzenie, budowanie z zapalem, które ma być rozpoczęte przez nowy obóz polityczny, zgrupowany pod sztandarem nowej mistyki, która będzie „politycznym wyrazem nowej techniki”.

Tak wyglądają pragnienia wsi francuskiej, względnie tak je ujmuję w lapidarnych zdaniach Jerzy Valois, twierdząc przytem, że w nadchodzących wyborach wiele głosów włściańskich padnie na kandydatów komunistycznych, pomimo wyraźnej niechęci wsi dla komunistycznych hasel. Stanie się tak m. i. z powodu istnienia w wielu bardzo wsiach, osad przemysłowych świeżo powstałych, których mieszkańcy — niedawni rolnicy, przybyłe z miast i zagranicy — stanowią element niepewny, a niezadowolony, mieszkają bowiem w warunkach zbyt pierwotnych, wskutek szybkości, z jaką te osady powstają. Padną głosy włściańskie na komunistów również przez przekorę, jako protest przeciw istniejącemu systemowi, w celu skierowania uwagi polityków na sprawy wsi. I dlatego jeszcze, że kontakt między starymi stronnictwami a masami jest dziś zerwany.

Należy więc zmienić system. Tylko tyle. Fali, której szybkość z każdą chwilą wzrasta, już nic nie zatrzyma. Trzeba dla niej wyłobić koryto, kanał szeroki, inaczej spłynąć może do komunistycznej przepaści. Szybko znika ten „chłop uparty, ograniczony... gardzący wszelkim postępowem technicznym świata dzisiejszego”. Na jego miejscu, za lat dziesięć, dwadzieścia ujrzymy innego zupełnie człowieka. Dziś „naród francuski przygotowuje się do wyborów. Ale tym razem do urn włoży nie tylko kartki wyborcze. Poprzez wybory chce on rozpocząć rzeczywistą rewolucję, która mu umożliwi wejście do tego nowego wieku cywilizacji, której wiek XIX był tylko przedmową”.

* * *

Trudno osądzić dokładność i ścisłość obserwacji, poczynionych przez przywódcę „błękitnych koszul” francuskich. Trudno stwierdzić z tak daleka, o ile teorje jego odpowiadają rzeczywistości. Wypowiadane są w sposób gwałtowny, co wzbudza krytycyzm. Wypowiadane są z ogromnym zapalem, z wielką wiarą w ich słusność — a to znów wzbudza uszanowanie i zaniepokojenie.

Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że hasła wstrząsające światem, a przynajmniej wywołujące w nim zamieszanie, przychodzą z Francji, choć ta ostatnia monopolu na nowości polityczne już nie posiada. Zagadnienia związane z przemianą życia wsi, wywołaną rozwojem cywilizacji materialnej — które porusza Jerzy Valois — jeszcze są od nas odległe. Możemy im się przyjrzyć spokojnie, gdyż nie dzieje się to jeszcze u nas. Ale może przyjąć, i to całkiem nieoczekiwane chwila, w której te same problemy staną przed nami.

L. Ro-n.

J. Krasicka.

Listy z Paryża

Nagroda Goncourt'ów i handlarstwo w literaturze

(Od własnego korespondenta „Prawdy”).

Paryż, 10 grudnia.

Balzac, w jednej ze swych powieści, energicznie zareagował przeciwko panoszącemu się za jego czasów handlarstwu w literaturze. Kiedy się dziś czyta *Scènes de la vie parisienne* odnosi się wrażenie, że już wiek temu panowały w literaturze francuskiej takie jak i dziś stosunki. W kilkadziesiąt lat później buntowali się przeciwko handlarstwu Goncourt'owie, ale swoje spostrzeżenia i rewelacje zamknęli w dzienniku, już bardzo sławnym choć jeszcze niewydanym... Pogodną wreszcie satyrą na nowoczesne metody „lansowania” młodych pisarzy przez wielkie paryskie firmy wydawnicze jest grana obecnie w teatrze *Michodière* sztuka p. Édwarda Bourdet'a p. t. *Vient de paraître...* (Wyszła z druku...).

P. Bourdet jest jednym z najlepszych i najoryginalniejszych komedjopisarzy współczesnej Francji. Jego poprzednia sztuka (*Prisonnière*) przez dwa lata nie schodziła z afisza teatru *Femina*. Jego nowa komedia jest niewątpliwym „sukcesem” sezonu. Namalował tam autor trzy typy: śmiałego i bezceremonialnego wydawcy; zdobywającego wszelkimi sposobami fortunę i sławę autora, oraz jego nieśmiałego i pełnego skrupułów kolegi, również pisarza. Typy są bardzo dobrze podpatrzone.

Sztuka zaczyna się na godzinę przed zebraniem się „Akademii Zoli”. Wydawca Moscat jest pewien zwycięstwa: jego autor, pretensjonalny i przystojny Maréchal, na pewno otrzyma *Prix Zola*. Większość akademików już jest „obrobiona”, 25.000 egzemplarzy nowej powieści Maréchal'a już wydrukowano, opaski z napisem „*Prix Zola*” już są naklejone... Wystarczy, aby telefon zawiadomił wydawcę o przyznaniu nagrody, a ekspedycja zaraz się zacznie.

Tymczasem rywal Maréchal'a — przy pomocy swej przyjaciółki — sekretarki, pracującej u konkurującej z Moscat'em firmy Chamillard — zdobył kopię kontraktu, jaki Maréchal już zawarł z Chamillard'em na wydanie swych trzech następnych powieści. A więc Moscat wydałby tysiące na „lansowanie” zdobywcę nagrody Zoli, a potem Chamillard miałby zgarniać dochody? Nie, raczej Moscat straci to, co już na druk ostatniej powieści Maréchal'a wydał... Dzwoni zaraz do „swojego” członka Akademii (zasiadającej właśnie do głosowania), że „niech nagrodzą kogo chcą, byle to nie był Maréchal”.

Tak się też stało: nagrodę Zoli otrzymał niejaki Tournier, którego nikt nie zna, za po-

wieść wydaną gdzieś na prowincji. Moscat odkupuje zaraz od prowincjonalnego nakładcy wszystkie prawa i niesprzedane egzemplarze nagrodzonej powieści (sprzedało się tylko pięć!) i — „lansuje” Tournier'a, zacnego urzędnika ministerstwa finansów, który powieść swoją napisał na podstawie panińskiego pamiętnika swej żony.

Życie Tournier'a zmienia się z dnia na dzień. Jest on teraz człowiekiem sławnym, żyje sobie zamożnie z awansów wydawcy, a jego ambitna żona jest w siódmym niebie. Moscat czeka naturalnie na następną powieść Tournier'a. Ale nasz laureat nie ma imaginations, nie mu się nie klei, nie ma pod ręką żadnego „dokumentu”, nie nie przeżył i nie ma co opisywać.

Moscat buduje więc taki plan: zaprasza do siebie na wieś pod Pireneje, Tournier'a z żoną, oraz Maréchal'a (interes ich już pogodził). Dwaj młodzi autorowie oczywiście się nie lubią, co nie przeszkadza Maréchal'owi „oczkować” do pięknej pani Tournier. O to właśnie Moscat'owi chodziło. Dyskretnie dodaje Maréchal'owi odwagi i... ułatwia się. Planuje sobie, że skłeci się tam jakiś romanśik, że Tournier trochę pocierpi, jego żona będzie znów pisała pamiętniki, a z tego wszystkiego zrodzi się nowa powieść autora, który go już grubo kosztuje, a nie nie pisze...

Ale wypadki rozwinęły się nieco inaczej. Jacqueline Tournier zakochała się w eleganckim Maréchal'u, pamiętnika nie pisała, a nie mogąc wybrać między „grzechem” a „cnotą” — robi mężowi scenę i ucieka do mamy, do Orleanu. Maréchal chce za nią jechać, ale go od tego planu powstrzymuje Moscat. Wystarał mu się mianowicie o... *Grand Prix du Roman* w Akademii Francuskiej, a w tej zacnej instytucji „nie lubią awantur”. Maréchal z łatwością ze swej już pewnej zdobyczy rezygnuje. Woli nagrodę.

Tournier zrezygnował zaś z literatury i znów jest referentem w ministerstwie; żona wróciła do niego. W domu jest smutno i trochę bieda. Jacqueline bardzo odważnie stara się zapomnieć o swej miłości. Siedzi i szysze. Naraz wchodzi Maréchal. Ona błaga go, aby jej nie mówił i odszedł. A on na to, że przynosi jej do przeczytania świeżo napisaną nowelę, w której przedstawił ich przygodę w Pirenejach. Urażona w swej dumie i momentalnie „wyleczona”, Jacqueline oddaje zaraz manuskrypt Maréchal'owi i wyprasza go za drzwi.

Odwiedza ją wkrótce potem stary przyjaciel domu literat Bourguine, członek Akademii

Zoli i „agent wyborczy” Moscat'a. Z ironią opowiada mu Jacqueline o poprzedniej wizycie. A na to Bourguine:

— Toż ja napisałem na podstawie waszych przeżyć dramat w trzech aktach! Czymu mi Maréchal nie uprzedził?

Wraca z ministerstwa Tournier. Bourguine zostawia małżonków samych, a wówczas żona smętnie opowiada mężowi jak radykalnie ci dwaj literaci wyleczyli ją z literatury i ze... wszystkiego.

— Oni nigdy nie są prości, ani szczerzy; oni wszystko opisują! Jaki ty jesteś inny, jak ja cię za to cenię! Ty przynajmniej nie potrafiś uprawiać takiej literatury...

Spuścił głowę Tournier i wyznał, że mając dużo wolnego czasu w ministerstwie napisał właśnie na temat ich przeżyć... powieść w dwu tomach! Z rezygnacją pogodziła się ze swym losem Jacqueline, a Tournier, już bardziej pewny siebie, drogo sprzedał swą powieść Moscat'owi. Wrócił do literatury.

Przygoda Tournier'a nie jest tylko wymysłem p. Bourdet'a. W roku 1920 Akademia Goncourt'ów przyznała swą nagrodę literacką Ernestowi Perochon'owi za jego powieść *Nène*, wydaną nakładem autora w Niort. P. Perochon był wówczas nikomu nieznanym pisarzem, a do chwili kiedy został laureatem Goncourt'ów zdążył sprzedać z tysiąca tylko 3 egzemplarze swej powieści. Podobnie było z pierwszą nagrodą Goncourt'ów, przyznaną w roku 1903 John-Antoine Nau'owi.

Sztuka p. Bourdet'a jest satyrą na stosunki panujące w świecie wydawniczym paryskim, ale nie przynosi żadnej ujmy samej Akademii Goncourt'ów. Ta zachowała do dziś dnia swój prestiż niezależnej trybuny literackiej, której statutem jest testament Goncourt'ów. Oni „zamianowali” pośmiertnie pierwszych dziesięciu akademików polecając im, aby corocznie przyznawali nagrodę literacką młodemu pisarzowi francuskiemu za najlepszą powieść. Takich nagród przyznano już 25, a o trafności sądu Akademii Goncourt'ów świadczy fakt, że liczni nagrodzeni pisarze są dziś sławni. Ze wliczymy tylko takie nazwiska jak Claude Farrère (nagrodzony w roku 1905), bracia Tharaud (1906), bracia Leblond (1909), René Benjamin (1915), Henryk Barbusse (1916), Georges Duhamel (1918), Marcel Proust (1919). Ostatnim z serji, nagrodzonym trzy dni temu za swoją powieść *Jérôme 60° de longitude nord*, jest p. Maurycy Bedel. W powieści tej opisał on dzieje miłości pewnego sentymentalnego Francuza (zgadnijcie kto nim jest?) i bardzo realistycznej Norweżki.

O nagrodę Goncourt'ów ubiegają się właściwie tylko cztery firmy wydawnicze, dbające o poziom literacki wypuszczanych przez siebie nowości. Są to: Flammarion, Plon-Nourrit, Grasset i N. R. F. (*Nouvelle Revue Française*). W tym roku zwyciężyła w wy-

ścigu N. R. F., albowiem Bedel jest jej faworytem. Takie firmy jak Albin Michel i Baudinière do „wyscigów” o nagrody literackie prawie wcale nie stają. Pierwsza ma Piotra Benoit, a druga — Maurycego Dekobra i to im wystarczy. Od swych autorów żądają strawy lekkiej a pikantnej, wydają dużo na reklamę i dużo na swych autorach zarabiają; autorowie — również.

Dookoła Akademii Goncourt'ów wydawcy snują rzecz jasną, pewnie intrygi i mnożą zabiegi dobrze rozumiejąc, że jej nagroda znakomicie lansuje nową powieść i autora. Taki przecież Leon Daudet (tym razem głosował... listownie), bracia Rosny, Lucjan Descaves, Georges Courteline lub Raoul Ponchon mogą sobie pozwolić na sąd niezależny. Czasem ten sąd wypada paradoksalnie (np. przyznanie nagrody murzynowi Maran'owi w roku 1921), bo, jak w każdym zgromadzeniu, i tu zbyt wielka rozbieżność zdań kończy się niezadowolającym nikogo kompromisem. Ale błąd wielki popełniłby widz, który — ubawiając się w teatrze na *Vient de paraître* — orzekłby, iż o nagrodzie Goncourt'ów decyduje ten czy inny potencjał wydawniczy.

Kazimierz Smogorzewski.

MALŻENSTWO.

Malżeństwo uproszcza życie, lecz komplikuje dzień.

Najbardziej przykra żoną jest najczęściej ta, która niema żadnych wad prócz tej jednej, że jest właśnie naszą żoną.

Trzeba mieć albo bardzo wiele zaufania do własnej osoby, albo też bardzo mało o nią dbać, aby narażać ją na małżeństwo.

Każda kobieta jest skłonna usprawiedliwić męża drugiej: każdy, kto ma szczęście nie być jej mężem zasługuje na jaknajwiększą pobłażliwość.

Nieułność męża obraża kobietę, obraża ją także jego uczucie pewności. To też mści się i za jedno i za drugie.

Szkoda, że zazwyczaj przestaje się kochać swoją żonę zanim się jeszcze zdążyło przyzwyczaić do niej.

Malżeństwo zbyt jest okrzykane, aby nie miało być w nim wiele dobrego.

Jean Rostand.

Jak osiąga się sukcesy i powodzenie?

Punkty zwrotne w życiu wielkich ludzi. — Szczęście czy genialność?

John D. Rockefeller, najbogatszy obok Forda człowiek na świecie, odpowiedział pewnego razu, gdy go pytano, w jaki sposób doszedł do swego wielkiego majątku: „Aby stać się bogatym człowiekiem trzeba przede wszystkim trzech rzeczy: szczęścia, szczęścia i jeszcze raz szczęścia. Oczywiście trzeba także umieć szczęście należycie wykorzystać”.

A talent? A geniusz? — Czy onie nie tutaj nie znaczą? Człowiek, któremu doprawdy nie można odmówić genialnych zdolności, mianowicie Edison, mówi przy każdej sposobności, że pierwszym warunkiem powodzenia jest pilność i pracowitość — nieustraszoną i nieustającą nigdy pilność i pracowitość. Od Edisona też pochodzi zdanie: „Geniusz, to jeden procent inspiracji, a dziewięćdziesiąt dziewięć procent transpiracji” (transpiracją nazywa Edison pocenie się z wysiłku).

Andrew Carnegie, który za swój trust stałowy otrzymał od Morgana bagatelkę, bo tylko 3 miliony złotych, który więc także musiał znać się jako tako na rzeczy, głosi: „Całą uwagę, wszystkie siły i zdolności trzeba skoncentrować na jednej pracy, na jednej branży. Obojętne jest przytem, na jakiej”. W tym samym duchu opowiada się Ford za swoim systemem jednej branży w licznych swoich biografjach i publikacjach ekonomicznych. Także i u Forda ani przypadek, ani zdolności genialne nie grają żadnej roli, ani też żadnej wartości nie przypisuje on intuicji i szczęśliwym inspiracjom. Zdaniem Forda wystarczy staranne przemysłowe i bezwzględ-

na, niezachwiana konsekwencja w postępowaniu, aby syn biednego farmera stał się milionerem.

Naogół wszyscy amerykanie zalecają, przynajmniej w teorii, skoncentrowanie się na jednym przedmiocie i wyrobienie w sobie skończonoj jednostronności w obranym kierunku. Ale i między amerykańkami, którzy znaleźli powodzenie, nie brak jest ludzi wszechstronnych i ekspansywnych, ludzi, których cała zdolność polega właśnie na wszechstronności i ekspansywności. Oczywiście nie należy i nie wolno posuwać się tak daleko, jak np. Hugo Stinnes, którego mocarstwo, stworzone w czasie inflacji, runęło właśnie dlatego, że było zbyt wszechstronnie rozbudowane, niemniej jednak w każdym człowieku, który osiągnął powodzenie, tkwi pewien pęd do rozciągania inicjatywy i działalności także i poza sferę głównego zadania. Jest wysoce charakterystyczne i zapewne nie przypadkowe, że w Ameryce, gdzie przetrzymywanie się z jednej branży do innej jest na porządku dziennym zarówno u pracownika jak i samodzielnego przedsiębiorcy i nie stanowi żadnego większego wydarzenia w życiu danego człowieka, gdzie wogóle życie gospodarcze jest więcej ożywione i urozmaicone, że właśnie tam największe sukcesy odnieśli ci, którzy umieli się skoncentrować na jednej branży i w jednym kierunku potrafili skupić wszystką swoją energię, wszystkie zdolności i cały wysiłek pracy. Przeciwnie jest w Europie. Tutaj każda zmiana zawodu, każde przetrzymanie się do innej działalności i każde zaczy-

nianie od początku uważane są za nieszczęście, za oznakę niepowodzenia. I dlatego może w Europie największy zwycięzca to ludzie wszechstronni, ludzie nie zasklepiający się w jednym zawodzie i w jednej branży. Jednostronność należy w Ameryce do wyjątków, wszechstronność w Europie i to daje już z góry pewne szanse. Albowiem leży w naturze przeciętnego człowieka dążenie, aby stać się najlepszym wśród przeciętnych, aby robić wszystko lepiej i staranniej niż wszyscy, ale tymi samymi sposobami co wszyscy, podczas gdy człowiek o zdolnościach większych niż przeciętne dążyć będzie zawsze do tego, aby robić inaczej niż robią wszyscy, aby móc powiedzieć „tak” tam, gdzie wszyscy powiedzieliby przypuszczalnie „nie”, aby pochwycić to, co wszyscy pozostawiają bez uwagi, aby dojrzeć to, co każdy prześlepia.

Przy tem wszystkim można oczywiście zostać także tylko dziwnym i oryginalnym, na którego patrzymy z politowaniem. Aby mieć powodzenie potrzeba jednak tej iskielki genialności, tej intuicji, która pozwala przeniknąć, co kryje jutro, potrzeba pilności, wytrwałości i pracowitości. Wszystkie te czynniki razem wzięte decydują o powodzeniu i sukcesach. Razem i w należytej harmonii ze sobą.

Tem tłumaczy się, że żaden z tych, którzy osiągnęli największe sukcesy nie potrafi dokładnie powiedzieć, dzięki czemu swój sukces osiągnął, nie potrafi dać jednolitej recepty ani jednolitej rady, jak należy postępować, aby do tego samego dojść. Jedni podają ten, inni tamten szczegół. I słusznie. Bo przecież każdy z tych ludzi stanowi wybitną i skryzalizowaną indywidualność, różni się przeto między sobą bardziej, niż ludzie przeciętni, których indywidualności są zatarte i wyrażnie nie występują. A wiemy przecież, że dwóch jednakowych indywidualności niema na świecie, że indywidualność to piętno, jakie każdy z nas otrzymał tylko

dla siebie, piętno które wyróżnia go z pozostałych milionów.

Im bardziej zarysowuje się i wybija czyjaś indywidualność, tem ciekawsze i tem bardziej interesujące jest jego życie, jego działalność na tym świecie, jego sposób dążenia do obranego celu. Życie prywatne takich ludzi niema z tem nic wspólnego i toczy się z reguły w najbanalniejszy sposób.

Życie ludzi wielkich, ludzi powodzenia i sukcesów, nie rozwija się tak dramatycznie, to znaczy tak logicznie, jak życie bohaterów na scenie i niema w niem także tej filmowej romantyki, którą spotykamy później w książkach, zawierających opisy ich życia i działalności. Ale pełne jest zawsze najbardziej emocjonujących momentów, jakie tylko mogą istnieć, bo pełne jest emocji życiowych, które powstają tam, gdzie wola zbiega się z przypadkiem, a szczęście z geniuszem i to niezawsze szczęśliwie. Ów słynny zwrotny punkt w życiu, chwila, w której niepowodzenie zamienia się w powodzenie, bardzo często niema nic wspólnego z właściwą działalnością takiego człowieka. Nie znaczy to jednak, by działalność ta, jako taka, nie była warunkiem powodzenia.

Oto młody chemik, nazwiskiem Alfred Nobel, siedzi sobie w swojej pracowni, gdzieś w okolicy Sztokholmu i od lat eksperymentuje, szukając materiału wybuchowego o wielkiej sile działania. Okoliczna ludność stroni od sąsiedztwa z tem laboratorium i omija je jak zarazę, albowiem raz już cały ten dom, w którym Nobel pracuje i gdzie wytwarza swoją przeklętą nitroglicerynę, wyleciał w powietrze. Ostatnio wynalazł podobno jeszcze straszliwszy materiał wybuchowy, jakiś „dynamit”. Nikt słyszeć nie chce o tym czartowskim wynalazku. Nawet zagranicą niefatwo mu znaleźć nabywców. Każdy boi się, że razem z zakupionym dynamitem wyleci w powietrze.

Polacy w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że w amerykańskiej marynarce wojennej polacy pod względem liczebności zajmują czołowe miejsce. Biorąc pod uwagę stosunek ludności polskiej do ogólnej liczby mieszkańców w St. Zjednoczonych i do liczb poszczególnych narodowości, polacy powinni być zajmować miejsce dziewiąte, a zajmują miejsce trzecie i to zarówno w szeregach marynarzy szeregowych, jak i w szeregach oficerskich. Na liście oficerów marynarki amerykańskiej, publikowanej przez t. zw. „Naval Directory” nazwiska polskie spotyka się co kilka tysięcy.

Polacy w marynarce amerykańskiej cieszą się jak najlepszą opinią. Rzadko który, chociaż zaciągnięty do szeregów bez żadnego przygotowania, pozostaje dłużej w stopniu prostego szeregowca, to też biorąc pod uwagę szersze podoficerskie, procent polaków jest jeszcze większy wśród podoficerów.

Do niedawna trudno było polakowi uzyskać stopień oficerski w marynarce amerykańskiej. Od kandydatów na oficerów wymaga się ukończenia akademii morskiej w Annapolis, zaś przyjęcie do tej akademii warunkowane było szeregiem okoliczności, nieosiągalnych z reguły dla przeciętnej rodziny polskiej.

Ostatnio pod tym względem wiele się zmieniło. Napływ polaków do akademii morskiej jest z każdym rokiem większy.

W chwili obecnej w marynarce amerykańskiej znajduje się około 1800 polaków tylko z pośród tych, którzy pełnili w czasie wojny ochotniczą służbę wojskową w polskich formacjach na froncie francuskim, z pośród t. zw. „Hallerczyków”.

Polacy chętnie służą w marynarce, ale nie garną się zbyt do służby czysto morskiej. Najwięcej jest ich w oddziałach artyleryjskich, lotniczych i t. p. oddziałach innych broni na okrętach wojennych. Najwięcej jednak jest artylerzystów i torpedzystów. W tej dziedzinie polacy uważani są za bezkonkurencyjnych i niema statku wojennego, któryby wśród swojej załogi artyleryjskiej nie posiadał przynajmniej kilkunastu polaków w stopniach podoficerskich.

Przyjęcie do marynarki wojennej Stanów Zjedn. nie jest tak łatwe. Kandydatów nawet na szeregowych, poddaje się najróżniejszym badaniom celem stwierdzenia stopnia ich inteligencji, przytomności umysłu, dobrego stanu zdrowia i t. p. Fakt, że przez to sito dostaje się stosunkowo najwięcej polaków sam przez się świadczy już bardzo dodatnio o zaletach naszej rasy. Jest przytem jeszcze bardzo silna konkurencja. Szeregowiec marynarki amerykańskiej otrzymuje bowiem potrójny żołd szeregowca armii lądowej. Wynosi to zgórá trzy dolary dziennie w gotówce. Prócz tego oczywiście marynarz,

BUDOWA TEATRU w ŁODZI

Od niepamiętnych czasów ciągnie się ta sprawa, a od kilkunastu miesięcy wstyd miastu przynosi. Dopóki bowiem sprawa budowy gmachu teatralnego stanowiła tylko temat rozważań, dyskusyj i narad, można było bez większej kompromitacji odsuwać ją z roku na rok. Wszak tyle jest spraw pilniejszych. Ale gdy dwa lata temu poczyniono już szereg konkretnych przygotowań, gdy obrano plac pod budowę, nabyto pewną znaczną ilość materiałów i rozpoczęto nawet roboty około fundamentów gmachu, gdy rozstrzygnięto konkurs i wybrano projekt, sprawa nie nadaje się już do dalszego odraczania.

Poprzedni Magistrat w ostatnich dniach swego urzędowania zdradził zamiar przystąpienia do robót. Ale ponieważ było już po wyborach i lada dzień należało oczekiwać ukonstytuowania się nowego samorządu, władze nadzorcze na wniosek czynników, które za kilka dni miały objąć rządy w mieście, do rozpoczęcia robót nie dopuściły, wychodząc z założenia, że sprawa nie jest znów tak bardzo pilna, aby zwłoka kilkunastu lat.

Ważąc miała decydująco i że nic nie usprawiedliwia stawiania nowego zarządu miejskiego wobec faktów dokonanych, pociągających za sobą dalekosiężne konsekwencje. Obecny Magistrat dotychczas nie wypowiedział swego zdania i jak słychać nie zamierza tak rychło zająć się tą sprawą. Rumowisko na placu budowy stać sobie będzie spokojnie jeszcze przez długi czas.

Być może, że sprawa budowy teatru nie jest dla Łodzi jedną z najważniejszych. P. może także, że teraz, gdy prowadzi się rozpoczętą budowę kanalizacji, i to z funduszy budżetowych, przystąpienie do tej budowy oznaczałoby zbyt wielkie obciążenie kasy miejskiej i mogłoby się stać powodem trudności finansowych. Być też może, że jeśli już należy w Łodzi coś budować, to przede wszystkim domy mieszkalne.

Ale z drugiej strony nie należy zapominać, że półmilionowa Łódź w ogóle nie posiada pomieszczenia dla teatru, gdyż dzierżawiony obecnie budynek prywatny na ten cel pod żadnym względem się nie nadaje i nie ulega żadnej wątpliwości, że dzięki temu, iż teatr niema dla siebie odpowiedniego pomieszczenia, frekwencja jest stosunkowo bardzo słaba i szersze masy o istnieniu teatru w ogóle bardzo mało wiedzą. W tych warunkach teatr, który ze względów prestiżowych musi być utrzymywany, bardzo wiele kosztuje, a pożytek z niego niewielki.

A jeśli chodzi o stronę finansową sprawy, to przecież swego czasu pobierany był w Łodzi specjalny podatek teatralny w wysokości 10 procent od ceny biletów widowiskowych, który przeznaczony był na budowę gmachu teatralnego. Źródło to dawało pokazyne wpływy. Władze nadzorcze zniosły ten podatek, gdyż nie widziały żadnych przygotowań do realizacji celu, na jaki był przeznaczony. Istnieje jednak prawdopodobieństwo, że w chwili przystąpienia do budowy gmachu teatralnego, na wznowienie tego podatku się zgodzą. Uwzględniając wpływ z tego źródła, obciążenie kasy miejskiej z tytułu przystąpienia do robót i prowadzenia ich nie przedstawiałoby się znów tak groźnie.

Poruszamy tę sprawę w związku z dwoma okolicznościami, nad którymi samorząd łódzki nie powinien i nie może przejść do porządku dziennego. Pierwszą z nich jest

znacznego wzrostu zainteresowania teatrem w szerokich sferach społeczeństwa łódzkiego. W obecnym sezonie jesteśmy świadkami silnego wzmożenia się frekwencji w teatrze miejskim. Jest to objaw niezmiernie dodatni i nie wolno niczego zaniedbać, co przyniesie może do utrzymania tego nastroju, i jeśli to możliwe do pogłębienia go i rozszerzenia. Rozpoczęcie budowy gmachu teatralnego samo przez się w silnym stopniu zwiększyło zainteresowanie się teatrem a w nowym gmachu, posiadającym należyte

ważyć miała decydująco i że nic nie usprawiedliwia stawiania nowego zarządu miejskiego wobec faktów dokonanych, pociągających za sobą dalekosiężne konsekwencje. Obecny Magistrat dotychczas nie wypowiedział swego zdania i jak słychać nie zamierza tak rychło zająć się tą sprawą. Rumowisko na placu budowy stać sobie będzie spokojnie jeszcze przez długi czas.

Być może, że sprawa budowy teatru nie jest dla Łodzi jedną z najważniejszych. P. może także, że teraz, gdy prowadzi się rozpoczętą budowę kanalizacji, i to z funduszy budżetowych, przystąpienie do tej budowy oznaczałoby zbyt wielkie obciążenie kasy miejskiej i mogłoby się stać powodem trudności finansowych. Być też może, że jeśli już należy w Łodzi coś budować, to przede wszystkim domy mieszkalne.

Ale z drugiej strony nie należy zapominać, że półmilionowa Łódź w ogóle nie posiada pomieszczenia dla teatru, gdyż dzierżawiony obecnie budynek prywatny na ten cel pod żadnym względem się nie nadaje i nie ulega żadnej wątpliwości, że dzięki temu, iż teatr niema dla siebie odpowiedniego pomieszczenia, frekwencja jest stosunkowo bardzo słaba i szersze masy o istnieniu teatru w ogóle bardzo mało wiedzą. W tych warunkach teatr, który ze względów prestiżowych musi być utrzymywany, bardzo wiele kosztuje, a pożytek z niego niewielki.

A jeśli chodzi o stronę finansową sprawy, to przecież swego czasu pobierany był w Łodzi specjalny podatek teatralny w wysokości 10 procent od ceny biletów widowiskowych, który przeznaczony był na budowę gmachu teatralnego. Źródło to dawało pokazyne wpływy. Władze nadzorcze zniosły ten podatek, gdyż nie widziały żadnych przygotowań do realizacji celu, na jaki był przeznaczony. Istnieje jednak prawdopodobieństwo, że w chwili przystąpienia do budowy gmachu teatralnego, na wznowienie tego podatku się zgodzą. Uwzględniając wpływ z tego źródła, obciążenie kasy miejskiej z tytułu przystąpienia do robót i prowadzenia ich nie przedstawiałoby się znów tak groźnie.

Poruszamy tę sprawę w związku z dwoma okolicznościami, nad którymi samorząd łódzki nie powinien i nie może przejść do porządku dziennego. Pierwszą z nich jest znacznego wzrostu zainteresowania teatrem w szerokich sferach społeczeństwa łódzkiego. W obecnym sezonie jesteśmy świadkami silnego wzmożenia się frekwencji w teatrze miejskim. Jest to objaw niezmiernie dodatni i nie wolno niczego zaniedbać, co przyniesie może do utrzymania tego nastroju, i jeśli to możliwe do pogłębienia go i rozszerzenia. Rozpoczęcie budowy gmachu teatralnego samo przez się w silnym stopniu zwiększyło zainteresowanie się teatrem a w nowym gmachu, posiadającym należyte

urządzenia powstać może w tych warunkach prawdziwa świątynia sztuki i ognisko kultury, tak bardzo w Łodzi potrzebne, i tak wielką rolę mające do odegrania w tem mieście.

Jeżeli przeciwnie teatr nadal będzie się mieścił w obecnym lokalu i nie będzie nadziei, że w niedalekiej przyszłości będzie lepiej, budzące się obecnie samo z siebie i bez niczych specjalnych wysiłków zainteresowanie, rychło na nowo zagaśnie, a wtedy nawet wybudowanie najwspanialszego gmachu ożywić go tak prędko nie potrafi.

Druga okoliczność, to fakt, że w roku przyszłym obchodzić będziemy dziesięciolecie niepodległości Polski. Z czemże wystąpi Łódź w tę rocznicę? Jakimże wykaże się dorobkiem? Pobudowanie kilku gmachów szkolnych, to żadna specjalna zasługa — to elementarny obowiązek, który musiał być spełniony, a którego za zasługę poczytywać sobie nie można. A pozatem samorząd łódzki doprawdy niewiele uczynił dla miasta. Ciągłe się przez tych dziesięć lat organizował i reorganizował. Zajęty był sam sobą i swoimi wewnętrznymi, gospodarczymi i administracyjnymi sprawami. Jak daleko się w tych sprawach posunął, tego opinia publiczna stwierdzić nie może i tutaj także niema nic takiego, co uznane mogłoby być za specjalną zasługę, za powiększenie dorobku, za czyn, posiadający znaczenie ogólniejsze.

Buduje się wprawdzie pomnik Kościuszki i zapewne zostanie on do czasu wykończony, ale zdaje się nam, że Łódź czemś większym powinna się pochwalić przy takiej okazji niż postawieniem jednego pomnika.

Najwłaściwszym byłoby wykończenie, przynajmniej częściowe wykończenie, monumentalnego gmachu dla polskiego teatru. Łódź ma wielkie obowiązki wobec sztuki i kultury polskiej, Łódź ma wielkie obowiązki kulturalne wobec swej ludności.

Dlatego poruszamy sprawę budowy gmachu teatralnego. Z rąk zaborców Łódź teatr nie otrzymała, bo zaborca celowo nie chciał dopuścić, aby sztuka i kultura polska spełniła w tem środowisku różnych narodowości swoje posłannictwo. Powinna była otrzymać go natychmiast po odzyskaniu niepodległości z rąk polskiego samorządu. Zaniedbanie to powinien naprawić obecny samorząd. Jeszcze nie jest zbyt późno. Przy dobrej woli i pewnym wysiłku, gdy nadejdzie dziesiąta rocznica odzyskania niepodległości, Łódź będzie mogła złożyć sztuce polskiej jeśli już nie całkowicie wykończony gmach, to przynajmniej daleko posuniętą budowę zrębów wielkiej świątyni dla niej.

I. L.

Prosimy o wpłacanie prenumeraty.

Naraz wydarzają się w krótkich odstępach czasu trzy przerażające katastrofy: Do pewnego małego hotelu nowojorskiego zjechał niemiecki komiwojażer, agent Alfreda Nobla, i złożył u portjera małą skrzynkę, w której w starannym opakowaniu znajdowało się dziesięć funtów nitrogliceryny. Ponieważ gość opuścił hotel na kilka dni, portjer zaczął posługiwać się skrzynką przy czyszczeniu swoich butów. Pewnego razu, gdy pan portjer wygodnie usiadł sobie na skrzynce i starannie poleruje swoje obuwie, przechodzący kelner zauważył, że ze skrzynki wydobywa się czerwony dym. Zdołano jeszcze wynieść skrzynkę z hotelu, gdy nastąpił ogłuszający wybuch. Jezdnia ulicy rozszarpała została na głębokość kilku metrów, a wszystkie domy w pobliżu zdemolowane. Podobne katastrofy wydarzyły się w krótkich odstępach czasu w pewnym domu towarowym w Ameryce i w Australii. Najstraszniejsza katastrofa wydarzyła się jednak na morzu. Okręt, który wioził sto skrzynek dynamitu Nobla do Peru, wyleciał na pełnym morzu w powietrze. Cała załoga w liczbie czterdzieści siedem osób zginęła w tej katastrofie.

W całym świecie zapanowało przerażenie. Towarzystwa okrętowe nie chcą przyjmować dynamitu do transportu, domy skladowe i przedsiębiorstwa ekspedycyjne nie chcą przechowywać ani odrobiny tego piekielnego materiału. W niektórych krajach zamierza się ustawowo zabronić przywozu dynamitu. Panika trwa jednak krótko. Pojawiają się przedsiębiorcy ludzie, którzy dochodzą do wniosku, że materiał o tak olbrzymiej sile wybuchowej będzie można w licznych wypadkach z wielkim pożytkiem wykorzystywać. W różnych ministerstwach wojny zaczynają się zastanawiać nad możliwością wykorzystania dynamitu do celów wojennych. Dzięki katastrofom uważa całego świata zwrócona jest na Nobla i jego wynalazek.

Potem zaczynają się walki i targi o patenty Nobla. Tym sposobem przerażająca katastrofa, straszliwe nieszczęście, stało się punktem zwrotnym w życiu Nobla, początkiem jego kariery i jego sukcesów.

W podobny sposób, chociaż o wiele mniej tragicznie, zyskuje sobie rozgłos, uznanie i powodzenie Alfred Krupp, założyciel zakładów przemysłowych Kruppa w Essen, kuźni najpotężniejszych środków i materiałów wojennych. Alfred Krupp wynalazł nowy sposób fabrykacji stali o niezwykłej trwałości i mocy. Ale długo nikt nie zwracał uwagi na jego wynalazek, długo nie mógł się doczekać większego popytu na swoją stal we własnym swoim kraju, w Niemczech. Postanowił tedy zaprezentować swój wynalazek na wystawie światowej w Paryżu w połowie ubiegłego stulecia. Wysłał więc do Paryża studentarową bryłę swojej stali. I oto, dzięki przypadkowi jeszcze przed rozpoczęciem wystawy cały świat zwrócił na nią uwagę.

Specjalnie zbudowany wóz, na którym wieziono stalową bryłę na plac wystawowy, łamie się pod jej ciężarem na jednej z głównych ulic Paryża. Bryła ku podziwowi całej ludności Paryża leży na środku ulicy, opierając się wszelkim wysiłkom powrotnego załadowania jej i usunięcia z ruchliwej ulicy. Wreszcie po długich wysiłkach udaje się zawieźć ją na plac wystawowy, ale tutaj nowa katastrofa: kłoc stalowy łamie rusztowanie, na którym ma spoczywać, przebija podłogę pawilonu i rzuca się do połowy w ziemię. Trudno zaiste o lepszy dowód dobroci i siły tej stali. Cały świat zaczyna się nią interesować, a francuskie władze wojskowe natychmiast zabezpieczają dla siebie olbrzymie ilości tej stali do celów wojennych. Gdy Niemcy przekonali się, że cały świat dobija się o stal Kruppa z kolei sami oddali Kruppowi wszystkie swoje zamówienia wojskowe.

Ale niezawsze punkt zwrotny przychodzi dopiero po pewnym czasie i po początko-

wych wielkich wysiłkach i niezawsze w takiej do pewnego stopnia dramatycznej postaci. Niekiedy zjawia się już na samym początku. W chwili, gdy w głowie danego człowieka zrodziła się myśl, że tak właśnie, a nie inaczej należy postąpić. Bystra spostrzegawczość, dobra pamięć i należytą energią, oto przeważnie warunki osiągnięcia pierwszego sukcesu i utrzymania go.

Klasycznym przykładem jest najbogatszy fabrykant angielski Lord Leverhulme, zwany królem mydła, przemysłowcem, może jedyń w całej Anglii, który w ostatnich kilkunastu latach nie zasnął niepowodzenia.

Jako czternastoletni chłopiec pomagał swemu ojcu w jego małym sklepiku kolonialnym. Pierwszą jego pracą było krajanie brył mydła, które przywożono z mydlarni i przygotowywanie ich do sprzedaży w małych kawałkach. Zauważył przytem, że klientki chętniej kupują mydło w czystym opakowaniu. Mija wiele lat, w czasie których młody Lever (pierwotne nazwisko dzisiejszego lorda) pracuje jako wędrowny przekupień. I tutaj robi spostrzeżenie, że opakowanie bardzo często pomaga w sprzedaży. Następnie usamodzielnia się. Zakłada mydlarnię i przy tej sposobności postanawia wykorzystać swoje spostrzeżenia. Mydło swoje dostarcza w kawałkach w czystym opakowaniu. Aby jeszcze bardziej wyróżnić je z pośród wszystkich innych mydeł, nadaje mu nazwę, którą drukuje ładnym pismem na każdej paczce. „Sunlight Soap” — mydło blasku słonecznego, stało się artykułem pierwszej potrzeby w każdym gospodarstwie domowym. Dzięki umiejętnej reklamie nazwa ta dotarła do najodleglejszej wioski, a następnie rozszerza się po całym świecie. Port Sunlight, miasteczko fabryczne w pobliżu Liverpoola staje się z czasem siedzibą najpotężniejszego angielskiego koncernu przemysłowego. Lever staje się w ciągu trzydziestu lat miljarderem, jednym z najbogatszych lu-

dzi na kuli ziemskiej i otrzymuje tytuł lorda Leverhulme.

Podobnie doszedł do swego pierwszego sukcesu Edison. Obsługując jako telegrafista, aparat telegraficzny, czyni spostrzeżenie, które daje mu bodźca do wynalazku fonografu. Obserwując aparat telegraficzny przy pracy, słyszy, że igła pisząca na taśmie papierowej wydaje różne dźwięki, posuwając się po papierze i trafiając w ten sposób na wgłębienia i chropowatości.

Od tego spostrzeżenia do budowy fonografu potrzebna było jeszcze wielu genialnych pomysłów, które nie mogłyby powstać w głowie przeciętnej technika, ale to co zauważył Edison mógł przecież zauważyć każdy inny telegrafista, tembardziej, że Edison ma słuch przytępiony. I może nawet niejedno to zauważył, ale przeszedł nad tem do porządku dziennego.

O to właśnie chodzi, że wynalazca techniczny dostrzega to, czego inni w tych samych warunkach nie dostrzegają i że umysł jego w takiej chwili natychmiast zaczyna pracować nad konsekwencjami uczynionego spostrzeżenia.

Nie każdy wynalazca potrafi z pożytkiem dla siebie wynalazek swój wykorzystać. Czynią to zwykle sprytni przedsiębiorcy. To jednak jest już inna sprawa. Wynalazca właściwy sukces osiąga w chwili dokonania wynalazku. Od tej chwili powstają możliwości nowego sukcesu, sukcesu przedsiębiorcy. A nie każdy wynalazca jest Noblem, który jednoczył w sobie i talent wynalazcy i zdolności przedsiębiorcy.

Widzimy więc, że samo szczęście nie wystarcza, aby osiągnąć sukces. I głęboką prawdę wypowiedział Moltke, mówiąc, że „zawsze szczęście może mieć tylko geniusz”. Niepodobna bowiem, badając koleje życia ludzi, którzy osiągnęli wielkie sukcesy, odróżnić w każdym wypadku, gdzie kończyło się szczęście, a zaczynał pomysł genialny i odwrotnie.

OL.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

FATA MORGANA

(Feljton muzyczny).

Przed kilku dniami miałem rokosz wystąpienia fragmentu genialnej opery Juliusza Wertheima „Fata Morgana”. Treścią opery jest baśń z tysiąca i jednej nocy o królewnie Alii, która zapragnęła do szczęścia trzech cudów: śpiewającego drzewa, kwiatów tańczących i wody ze złotego źródła. Po cuda te ruszają bracia jej na wyspę rokosznego zła... „Fata Morgana” opowiada nam o ich przygodach. Do moich słów Juliusz Wertheim napisał muzykę. Z każdego tonu tej muzyki pada czar na duszę słuchacza tak wielki, tak przemożnie wielki, iż jesteśmy od razu porwani i uniesieni huraganem dźwięków, burzą radosną melodii, oczarowani i zaczarowani. Jak wschodni skarbiec, kryjący najdroższe klejnoty świata, tak każdy obraz tej cudnej opowieści muzycznej pełen jest najbogatszych klejnotów — czegoś co jest już ponad muzyką, ponad dźwiękiem, co jest samem bogactwem, samym zachwytem i samym cudem. Żaden utwór muzyczny, jaki znam, nie działał na mnie tak porywająco, żaden mi tak nie ogarnął i nie zwyciężył, żaden mi tak nie zachwycił od samego czarodziejsko pięknego i słonecznego początku, po przez groźne przygody, śmiertelne i przerażające zmagania się, aż po uśmiechnięte zakończenie.

„Fata Morgana” jest utworem nawskroś nowoczesnym i otwierającym przed muzyką i ponad muzyką nowe, nieprzeczuwane dotąd horyzonty. Orfeusz czarował swoją grą dzikie zwierzęta. Należy przypuszczać, że niechętni dotąd Juliuszowi Wertheimowi niektórzy rodzimi krytycy zostaną jednak oczarowani tem genialnym dziełem. O ile, oczywiście, nie stoją niżej pod względem wrażliwości muzycznej od wspomnianych wyżej zwierząt.

Operę Wertheima, pierwszą operę tego tak krzywdząco niedocenianego, a tak znakomitego muzyka, świadomie zupełnie nazwał genialną. Jest ona zdobyczym krokiem na nowych, nieznanych nikomu drogach ku nieprzeczuwanym szczytom.

Zrealizowanie tego dzieła na scenie jest nieskończenie trudne, ale i nieskończenie wdzięczne. Każdy obraz woła o genialnego dekoratora. Każdy obraz daje pole do popisu, temu który będzie czuł nad inscenizacją. Kto wie, może kiedyś dla dzieła tego powstanie nowy, nawskroś nowoczesny teatr... Lecz nim to się stanie, należy wszelkie wysiłki uczynić, by tę cudowną opowieść muzyczną pokazać wszystkim tym, którzy są jej wysłuchania godni.

W salonie dyrektora Młynarskiego, jedno go z najzasłużniejszych pionierów muzyki polskiej, danem mi było słuchać „Fata Morgany”. Znakomity autor po raz pierwszy grał na fortepianie swoją pierwszą operę. Słuchaliśmy go ze wzruszeniem, z zachwytem i — ze zdumieniem. I z radością myślałem o

Zwycięstwo

Powieści Josepha Conrada-Korzeniowskiego są przedziwną lekturą. Czytelnik bowiem, który właściwie zawsze jest mniej lub więcej leniwym konsumentem fabuły i intencji autora, musi, czytając Conrada, porzucić swój bierny stan i stać się czynnikiem współdziałającym. Powoli, nie spiesząc się, narasta treść Conradowych powieści i wciąga czytelnika w czarodziejskie koło akcji.

Z jakiegoś odcinka życia wybiera Conrad swoje osoby. Są one zrazu dalekie, nieokreślone i niemal zupełnie obce. I już to samo drażni czytelnika. Gdyż taki niepełny, zagadkowy twór, trochę niepokojący, a trochę niepojęty domaga się jakiejś pozycji dla siebie, chce wejść w grono typów i charakterów, być wśród dobrze znanych i znanych postaci, o których możnaby powiedzieć coś określonego. Tymczasem jednak bohater Conrada nie spieszy się ku nam, nie ma wcale ochoty objawić się od razu. Odgrada się tajemnicą swoich przeżyć i przemysłów. Można się wprawdzie przypatrywać jego postaci, widzieć jego sposób bycia, znać szczegóły jego ubioru, ale mimo to zawsze jeszcze nie wie się o nim nie konkretnego i nie domyśla się, do czego zdąża, dokąd zmierza.

I dlatego to każdy dalszy etap opowieści jest przepełniony naszym współuczestnictwem. Idziemy bowiem na zwiady razem z autorem, odkrywamy szczegóły i związki wzajemne spraw. Zaprawdę, to my sami wespół z autorem popychamy naprzód sprawę, my jesteśmy współtwórcami dobrej czy złej doli bohatera powieści. A gdy kończymy czytać książkę, nie możemy już o sobie powiedzieć, że byliśmy bez zasług, lub bez winy. I to jest właśnie tak dziwne, tak żywe i przerażające w utworach Conrada-Korzeniowskiego.

Długo nie mogłam sobie dać rady z uczuciami, wiażącami mnie z każdą książką Conrada. „Wrażenie” — było przecież zbyt pobieżnym i zbyt zewnętrznym określeniem. Dopiero po przeczytaniu „Zwycięstwa” (Przełożył Aniela Zagórska. Nakładem Wydawnictwa Zakładu Nar. Imienia Ossolińskich), pojąłam, że Conrad wpręga czytających w swój krąg twórczy. Odbija się wtedy czarodziejstwo misterjalnych obrządków. Kapłanem tego misterjum jest autor, czytelnicy są rzeszą, która uczestniczy w grze losu, ale

tem, że chwila to historyczna, chwila objawienia nowej muzyki, nie tej chorej, modnej i zdegenerowanej, ale tej, która jest melodią świata, tej, która jest nieśmiertelnym cudem, tej, która rodzi się w szepcie drzew, w powiewie wiatru, która trwa w piosence słowiczej, w śpiewie złotych promieni słońca i w harmonii wiekistej gwiazdy.

Juljan Ejsmond.

widzi jednocześnie, że gra losu jest za wielką w stosunku do lęku człowieka i zbyt tajemniczą, aby ją mógł zrozumieć.

Dzieje Aksela Heysta, mieszkańca Samburanu, wyspy „zwanej na mapie wyspą Okragłą”, są również początkowo leniwe, rzecz można czołgające. Poznajemy najpierw pejzaż podzwrotnikowy, olśniewający i niepokojący. Samotność Heysta trwa zarówno w tym pejzażu, jak i wśród ludzi, którzy mają w tym podzwrotnikowym kraju swoje sprawy. Samotnictwo jest już samo przez się tajemniczością. Normalne, pospolite otoczenie usiłuje się ustosunkować do tego zagadkowego samotnictwa. Jest w tych zabiegach beznamiętna ciekawość, która chociaż w istocie swej nieszkodliwa, posiada już znamiona aktywności.

I tak, dzięki tej ciekawości bliźnich, wie się już cośkolwiek o Heystcie. Mówi się o nim często, ktoś go osądza, ktoś inny łaskawie broni. Jednakże wśród tej aury obojętnej i neutralnej Heyst krąży swobodnie. Dopiero, gdy z mierzwą opinii wyluskał się wróg Schomberg, swoboda Heysta zostaje ograniczona. Począyna bowiem działać siła przeciwna, świadomie czynna.

Heyst nie tylko, że nie umie spostrzec wroga ataku, ale nie posiada zdolności, aby go odeprzeć, nie potrafi walczyć jedynie w tym wypadku skuteczną bronią: brutalnością i bezwzględnością. Wydaje mu się to zresztą bezpotrzebne, nie zna bowiem wartości swojego istnienia.

Nie może więc być mowy o walce, skoro walka jest przeciwstawieniem swojego własnego ciężaru gatunkowego ciężarowi innego żywego stworzenia. Takim ciężarem gatunkowym człowieka jest — uczucie. Więc miłość, nienawiść. Tak, może właśnie przedewszystkiem skrajne uczucia, jako najsilniejsze motory czynu. Ale bohater Conrada jest człowiekiem cywilizowanym, jego cechą jest umiarkowanie, czyli oszlifowanie namiętności aż do gładkości dżentelmeństwa. W go dzinę niebezpieczeństwa wyznaje Heyst, że słabość woli jest upokorzeniem. „Lecz najdotkliwszą stroną tego upokorzenia jest absolutna bezużyteczność, którą czuję, ach, jak czuję!” I dalej: „Ciekaw jestem, czy miałbym dość odwagi, aby wkraść się między nich nocą z nożem w ręce i poderżnąć im kolejno gardła we śnie!”

Te rozważania Heysta o możliwości czynnej obrony przed złoćcami, zagrażającymi życiu jego i jego ukochaną kobietą, są już jednak stopniami, prowadzącymi do poznania wartości własnej. Miłość do kobiety i bliskość grozy budzą odruch, lecz ma on tylko podobieństwo do czynu. I to jest zamało, gdy trzeba być człowiekiem z krwi i kości, gdy walka idzie o wszystko.

Jednak owego „wszystko” nie potrafił pojąć Heyst. Analizował, rozdrabniał na

częsteczki swoją wewnętrzną istotę, ale nie umiał ująć jej w całkowity kształt. Sam przed sobą rozpylił się w cień i wszystko, co wkraczało w jego widnokrąg, stawało się bezcielesne, nieuchwytnie: „Oddaliłem się od wszystkiego przez analizowanie”. Rzekłem ziemi, która mnie nosiła: „Ja jestem ja, a ty jesteś cieniem”... Oto mieszkam na cie niu, zaludnionym przez cień. Jakże bezradnym jest człowiek wobec cieni! Jakże je zastraszyć, przekonać, oprzeć się im albo przeciwstawić? Straciłem wszelką wiarę w rzeczywistość...”

Tragedia Heysta tkwi więc w tej niezupełności, którą pojął sam dopiero wówczas, gdy brutalność i zbrodnicość zaatakowały go wręcz. Bo wtedy właśnie zdaje sobie do kładnie sprawę, że niema w nim „ani siły, ani przekonania”. Wprawdzie tłumaczy we wstępie Conrad, że „jeśli katastrofa dorównywała w tajemniczości rządzącemu nami losowi, najlepszy nawet przedstawiciel ludzkiej rasy może stracić równowagę. — Czyż więc ma na myśli ślepe przeznaczenie? Coś, co przychodzi z zewnątrz i jest niezwalczalne?”

Niewątpliwie oddaje Conrad zwycięstwo tajemniczemu losowi, ale bezwiednym sprzymierzeńcem losu, uczestnikiem jego okrutnych igraszek jest wewnętrzna struktura człowieka. „Refleksja — tłumaczy Conrad — jest wielkim wrogiem powodzenia”, a „zwyczaj głębokich rozmyślań jest najszkodliwszym ze wszystkich zwyczajów, wytworzonych przez cywilizowanego człowieka”.

Z tych to uwag autora należałoby sądzić, że „Zwycięstwo” jest satyrą na cywilizowanego człowieka. Tak, poniekąd. Ale bez ostrza, bez drwin z bohatera. Poza to nie o samą refleksję tu chodzi. Ślepy los ma jeszcze innego sojusznika: „Biada człowiekowi, którego serce nie nauczyło się za młodu ufać, kochać i pokładać w życiu nadzieję”. Proste, znane słowa, którym się już dziś nie daje wiary, ale które są i będą sprawdzianem wartości życia.

Taki więc jest „sens „moralny” świetnej powieści wielkiego pisarza. Aniela Zagórska w znakomitym przekładzie przechowała każdy odcień językowych subtelności i walorów.

Herminja Naglerowa.

„Śmiejmy się, kto wie czy świat potrwia jeszcze trzy tygodnie”.

„Cyrulik Warszawski”

Najlepszy w Polsce

Ilustrowany Tygodnik Humorystyczny

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach T-wa „RUCH”.

JÓZEF JANKOWSKI

Karjera poety Olimpowskiego

Apoloniusz Olimpowski urodził się, jak to mówią, w czepku. Miał talent, pisał misterne liryki i, acz nieznany jeszcze światu, miał sliczną kuzynkę, pannę Zulę, w której kochał się, jak to również mówią, „na zabój”... redaktor „Ciemnej Gwiazdy”, poczytnego bardzo dziennika, Wandalski.

Olimpowski był stonowczo oryginałem. Wysoki, szczupły, niebrzydki blondyn z niebieskimi wylupastymi oczyma, nieco pochylony i kofyszący się, chodził zawsze z podniesionym kołnierzem palta, z cieniutką laseczką pieprzową, którą się nie podpierał, lecz którą nosił przed sobą hieratycznie, w dwóch palcach ręki, jak jakiś bóg egipski... Nie mówił prawie z ludźmi, lub mówił tylko pojedynczymi wyrazami, spacerował po świe cie, układając widocznie wiersze i uśmiechając się do siebie czy do nich, i, dobrze wychowany, był zupełnym abnegatem co do swej kariery i sławy poetyckiej. Poza tem, „piastował”, jak to mówią, drobny jakiś urząd w jednym z ministerstw, i to mu w zupełności do bytu wystarczało.

— Czemu ty nic nie drukujesz? — pytała go pewnego razu praktyczna panna Zula, która, niewiadomo dlaczego, zwano panną Zulą, gdy z imienia chrzestnego była Władysława. — Trzeba talent wyzyskać, trzeba dać się poznać!

— Gwizdź! — odparł poeta.

— Ty zawsze tylko gwizdziesz na wszystko! Ale gwizdaniem, mój drogi, wygwizdziesz sobie najwyżej dziury w butach.

Poeta uniósł nogi i pokazał je swej kuzynce.

— Całe! — rzekł upewniająco.

Buty, istotnie, były nie tylko całe, lecz nawet eleganckie i utrzymane najdbalej.

— No, toś widocznie za mało jeszcze gwizdał! — rzekła, nie lubiąca przeczenia panna Zula. — Słuchaj, ja mówiałam o tobie z Wandalskim. On mi przyrzekł, że wydrukuje coś z twoich utworów. „Ciemna Gwiazda” — to pismo solidne!

— Brukowiec! — zaopiniował poeta. — Lamowanie!

Wyrazem tym określił Olimpowski modne dziś „nagłówkarstwo”, czyli lamowanie (od Lama) potrójnymi nagłówkami szpalt i ko lumn pisma.

— A ty zawsze po obłokach, zamiast po bruku! Słuchaj! Ja powiedziałam Wandalskiemu, że ty jutro o 10-ej będziesz u niego w redakcji i przyniesiesz mu swe utwory. Prosił tylko, żeby były nie długie.

Poeta skoczył z miejsca i począł, jak ptak skrzydłami, trzepotać rękoma, jakgdyby odpędzając się od widma groźnego, po chwili jednak uspokoił się, siadł, czas jakiś patrzył milczący w słońce, choć tym razem nieugięte w wyrazie, oczy panny Zuly, wreszcie z rezonacją machnął ręką i rzekł:

— Pójdę.

Olimpowski nie był nigdy w redakcji, lecz instynktownie, w wyobraźni swej, czuł odrzecz do dwóch instytucji: komisariatu policji i biura redakcji. Skąd to zestawienie — niewiadomo. Może stał, że wyobrażał sobie, iż w obu tych instytucjach patrzają na obcych przybyszów, jak na notorycznych zbrodniarzy.

Tak czy owak — przemógł się i poszedł.

Zameldowany przez woźnego, wszedł do gabinetu redaktora z podniesionym kołnierzem swego jasnego palta i z nieodstępną laseczką pieprzową w ręce.

Redaktor Wandalski, pretendent do ręki i znacznego posagu panny Zuli, który miał wesprzeć potężne posady (zamierzony był dodatek ilustrowany do pisma) chwiejącej się „Ciemnej Gwiazdy”, przyjął poetę przychylnie, z werwą amerykańską fachowca warszawskiego.

— A! Pan Olimpowski! Witam! Proszę! Woźny! Nikogo nie przyjmuje! Przez kwadrans! Proszę! Niech pan siada! Jak zdrowie panny Zuli?

— Nie wiem — bąknął poeta.

— Nie widział pan?

— Nie pytałem.

— Aha! Owszem. Przyniósł pan utwory... Proszę! Zaraz je przeczytamy — piorunem.

Poeta wydobyl z kieszeni trzy małe kartki, podał je i zaraz chciał je cofnąć.

— Krótkie. Doskonale. Czytajmy. Nr. I. Tytuł: „Zasypiam codzień z pieśnią...” Ho, ho! Pan sypia z pieśnią! Czytajmy!

Zasypiam codzień z pieśnią

I mam cudowne sny

Bo ludzie mi się nie śnią,

Wciąż tylko pieśń i ty!

Aha! Jest i kobieta do pary! Panu nie dosyć pieśni. Pan jest rozpustny! Jedźmy dalej...

Lecz, jako złote liście,

Za chwilą chwila mknie,

Aż wszystko się złościście

Zamąci — tak, jak w śnie.

Panu się wszystko zamąci złościście. Z pana ananas!

I oto snów ozdoba

Strapionym-m...

— „Strapionym-m”, — poprawił z irytacją poeta.

— „Strapionym-m”... Przepraszam!

I oto snów ozdoba

Strapionym-m wśród tej mgły,

Bo nie wiem, czy pieśń toba,

Czy pieśnią jesteś ty!

Pan nie umie odróżnić pieśni od kobiety! No, no! Pan używa tego wykretnu, żeby zwalić grzeszne swe obcowanie z kobietą (choćby we śnie) na tożsamość jej z pieśnią! I pan chce, żebyśmy my, pismo uczciwe i katolickie, drukowali takie rzeczy! Ładny przykład! Wtedy każdy, kto będzie spał cudzołownie z kobietą, powie, że spał nie z nią, lecz z pieśnią! Zresztą — i co do samej pieśni nawet. Pieśń pańska — to płód pański, to „dziecko” pańskie. Nie powiem, żeby to kazirodcze spanie miłosne z własnym dzieckiem świeciło dla czytelnika przykładem... Daruje pan, ale nie możemy. Straciłbyśmy połowę księży... Pismo nasze musi dbać o obyczajność... Chociaż forma pańska — nie

TEATRY WARSZAWSKIE

(Teatr Polski: „Aby żyć”, komedia Kazimierza Wroczyńskiego. — Teatr Mały: „Ósma żona Sinobrodęgo”, komedia Al. Savoir’a).

Tytuł nowej komedji Wroczyńskiego, wystawionej w Teatrze Polskim, jest brachylogią. Myśl, zawarta w nim, brzmi w całości: „ludzie są kanajkami, nie cofającami się przed żadnym świństwem aby żyć” (przyczem „żyć” oznacza tu „mieć pełną kieszę”). Tego rodzaju temat można traktować na wesoło, jeżeli się chce stworzyć zeń komedję, ale nie można zapobiec deprymującemu ogólnemu wrażeniu jakie ona wywiera. Gdy słuchałem tej sztuki zdawało mi się niemal, że jestem jedną z owych ofiar okrucieństwa Iwana Groźnego, którym car ten kazał patrzeć na najwymyślniejsze tortury ludzkie, zmuszając równocześnie do śmiechu przy pomocy łaskotania... Tak i Wroczyński, pokazując swą przesmutną komedję, łaskocze nas jej pierwszorzędnym komizmem i gwałtem wykrzywia, okrutnik, nasze usta w grymas śmiechu...

Swoją drogą zaczynamy już mieć trochę powyżej uszu tych tak zw. „satyr na powojenne zepsucie”. Nie wiem, czy to zepsucie jest rzeczywiście tak horendalne, gdyż ocenianie go bez dostatecznej perspektywy czasu nie daje dostatecznych gwarancji; ale to pewna, że satyra, którą dał w swej komedji Wroczyński, jest tak jednostronna, że nie może już nawet uchodzić za satyrę na rzeczywistość: to już jest karykatura ujemnych stron rzeczywistości.

Inna rzecz, że karykatura bardzo interesująca. Dobrze podmalowane jest tło akcji, owo skwaśniałe i zapieśniałe w codziennej szarpaninie rojowisko ludzi, nie znoszących się wzajemnie, a zmuszonych do bytowania na kupie w jednym „domu rodzinnym”, w którym — według wyrażenia Boya — „każdy mówi o czym innym”: żony, które zrobiły „change des maris”, a teraz flirtują z pierwszymi mężami, podstarzała mamusia jednej z nich, żyjąca ze stetryczalym urzędnikiem ministerjalnym „na wiare”, by nie utracić emerytury wdowiej, — a wszystko razem hołota, miotana bezpłodną żądzą zrobienia majątku, której nie umie zaspokoić. W to zakisłe i nieruchome w swej bezzile bagienko wpada pewnego dnia mąż opatrnościowy, idealista, który chce tych ludzi pobudzić do twórczego czynu, a w rezultacie robi z nich hochstaplerów. Powstaje sui generis towarzystwo akcyjne, którego podstawą jest wielkie oszustwo, a którego burzliwa historia zapewnia drugi i trzeci akt komedji (ten ostatni o charakterze czysto farsowym). Ostatecznie sympatyczna a okradająca się wzajemnie kompania, gdy „mąż opatrnościowy” już się jej staje niepotrzebny, postanawia solidarnie „splawić” go, on zaś przekonawszy się wreszcie (o nieprawdopodobną naiwności...) o ich szubrawstwie, żegna się z nimi lapidarnym słowem i trzaśnięciem drzwiami.

Grano tę komedję o zapewnionem powodzeniu z werwą i z talentem. Główną rolę odtworzył pomysłowo, choć niezupełnie konsekwentnie, Maszyński, otoczony trójką hultajską geszefciarzy-bandytów, dobrze zagraną przez Samborskiego, Fritschego (dosko-

zła, — dodał na pocieszenie. — Przejdźmy do drugiego utworu. Tytuł: „Cała historia”. Tytuł dobry. Czytajmy.

Nina jej było na imię...
Czujesz wdzięk piękna w naturze?...
Tak czysta była jej dusza...
Patrz! Anioł przemknął tam w górę...

Ho, ho! Pan widuje aniołów! Pan ma dobry wzrok! Transcendentalny!
A potem mała trumienka

(Wandalski skrzywił się, jakgdyby się napił octu).

W kadzieli i gromnie dymie...

(Ojoj!) — zajęczał, chwytając się za głowę).

Słyszysz, jak serce mi pęka?...
Nina jej było na imię...

I już! Pan ma osobliwy słuch! Pan słyszy, jak serce pęka! Powinszować! Pan byłby dobrym dżagnostą! Ale to nie dla nas, proszę pana! To jest nekrologia, nekromancja, nekropoezja, trupiactwo, trumniarstwo i karawaniarstwo! Tobie nam odstraszyło wszystkich prenumeratorów. My musimy dbać o pogodę, dobry humor i dobre trawienie naszych czytelników. Non possumus! jak mówi Jego Świątobliwość... Mimo najlepszej chęci... Ale czytajmy dalej. Trzeci utwór... „Kołysanka”.

Mój maleńki ból kołysząc,
Śpiewała mi matka:
„Luli, maly! będziesz wielki,
Kiedy wzrośniesz w latka!”

—
prawda, malkol! Ból się rozrosł,
Piersi strasznie przygniata,
I już go nie ukołyszą
Wszystkie matki świata!

TEATRY ŁÓDZKIE

TEATR MIEJSKI

„Wyzwolenie” Wyspiańskiego.

Jak przykro jest ganić, gdy chciałoby się chwalić. Tej właśnie przykrości doznajemy dzisiaj w stosunku do Dyrekcji Teatrów Łódzkich, którą chcielibyśmy chwalić nie dla zasady tylko, ale dla istotnych jej zasług — nie możemy zaś uczynić tego bez zastrzeżeń.

Uwzględniane repertuaru wielkiego w układzie sztuk wystawianych jest niezaprzeczalną zasługą teatru — tem większą zaś, gdy teatr ten ma, jak łódzki, specjalną misję do spełnienia i niejedną lukę do wypełnienia. Niewątpliwie jednak i w tem również, jak we wszystkim innem, zachowana być musi pewna miara, której przekroczenie stanowczo zasługę umniejsza.

A tej miary Dyrekcja Łódzka nie zachowała, dając z kolei „Dziady”, „Peer Gynt” i „Wyzwolenie” po „Księżu Niezłomnym”, którym sezon został rozpoczęty. Być może, że nie jest to zawiele, napewno jednak przebiega miarę wobec nagromadzenia w zbyt krótkim okresie czasu i nieprzerwanej kolejności. Jeżeli „Dziady” były manifestacją z okazji stulecia romantyzmu, a „Wyzwolenie” miało być holdem dla poety w 20-tą rocznicę jego śmierci, to nic zgola nie usprawiedliwia wsunięcia „Peer Gynta” między te dwa arcydzieła literatury rodzimej, skoro z aktem pietyzmu dla Ibsena z okazji 100-letniej rocznicy jego urodzin mamy jeszcze czas czekać do roku 1928. Dlaczego w takim razie zamiast Ibsena nie dano nam Fredry, tak dawno już w Łodzi nie granego?

Co do „Wyzwolenia”, to trudno jest oprać się wątpliwości, czy utwór ten jest w stanie oddziaływać bezpośrednio na szeroka,

nały i Daczyńskiego. Z figur kobiecych najcharakterystyczniejsza była owa przedsiębiorca mama: Jasińska trafiła tu na najodpowiedniejszą dla siebie rolę w stylu p. Chaveau.

Komedja Savoir’a p. t. „Ósma żona Sinobrodęgo”, wznowiona w teatrze Małym, jest jak dawna dobra znajomość, którą się zawsze chętnie odnawia. Świetnie zbudowana, sypiąca dowiecem garściami, w miarę życiowa i bardzo paryska, tak paryska, jak tylko może być komedja nie-Paryżanina (Savoir jest, jak wiadomo, pseudonimem literackim łódzianina Poznańskiego), — „Ósma żona” ma przytem aspiracje w kierunku psychologii. Jej bohaterka przypomina przecież słynną Arjanę Claude Aneta, która również utrwała uczucie swego kochanka przy pomocy nieustannego deptania tego uczucia. Ale poco tu przypominać rzeczy tak dobrze znane wszystkim, którzy widzieli komedję Savoir’a — a któż jej nie widział? W każdym razie sztuka warta powtórnego zobaczenia, choćby dla bezkonkurencyjnej gry Modzelewskiej i Junoszy Stępowskiego w rolach głównych.

I. W.

nieprzygotowaną do zrozumienia zawiłych jego szczegółów koncepcyjnych i myślowych, publiczność. „Wspomnienie dyskusji, toczonych przed ćwierćwieczem po ukazaniu się książki, nakazuje wątpić o tem, czy widz teatralny może pojąć i wchłonąć tę olbrzymią masę myśli, płynącą ze sceny wartkim potokiem, zorientować się w pięknej i fascynującej wizji poety i rozwiązać jej symbole. Zapewne, że ujarzmiające piękno pierwszego i trzeciego aktu daje sumę wrażeń niezatartych i głębokich, ale to, co obok piękna stanowi wielką wartość dzieła — jego myśl, i ból, i troska, jego poryw i tęsknota — zapada w duszę większości widzów zaledwie, jako przecucie. Sądzymy dlatego, że oile wielki wysiłek i trud naszej sceny mają wydać plon istotny, widowiska popularne i dla uczącej się młodzieży poprzedzane być winny pogadankami komentującymi.

Wykonanie „Wyzwolenia” pod żadnym względem nie obniża wysokiego poziomu, osiągniętego na deskach Teatru Miejskiego w poprzedzających widowiskach. Zarówno dekoracyjnie, jak i w wykonaniu wszystkich poszczególnych ról było ono całkowicie zadowalające. Z zespołu artystów żaden nie zakłócił ogólnego wrażenia, mimo niektórych naogół drobnych usterek. P. Osterwa w roli Konrada dał kreację, pełną wielkiej intuicji i w każdym szczególe zdradzającą wysoką szkołę tego artysty. Pefen opanowania, niezmiernie i głęboko inteligentny, potrafił pan Osterwa wybitnie niescenicznemu aktowi drugiemu nadać wartkie życie i trzymać widownię na uwierze przedziwnie bogatą i subtelną modulacją swych obfitych apostrof i replik.

W całym wykonaniu znać było pietyzm i ogólny zapal, włożony przez Dyrekcję, reżyserję i zespół artystów w wykonanie wielkiego poematu.

TEATR KAMERALNY.

„Fura Słomy” Kaweckiego.

Pierwszym utworem polskim, granym na małej scenie Teatru Kameralnego, była farsa Kaweckiego, która wypełniała przez sześć tygodni warszawski Teatr Mały. Dlaczego wypełniała? Bo bawił publiczność Maszyński i bawił Grabowski. Dlaczego wybrał ją dyr. Gorchyński? Bo innej w ubogim naszym dorobku współczesnym niema. A szkoda, że niema, bo wtedyby „Fura słomy” prawdopodobnie nie wypełniała Teatru Małego i nie ukazała się w łódzkim Kameralnym.

Dobry i niewątpliwie oryginalny pomysł, wypełniający dobry również pod względem faktury pierwszy akt tej farsy, niestety, urywa się w chwili pierwszego zapadnięcia kurtyny. W pierwszym antrakcie inwencja opuściła p. Kaweckiego i obadwa następne są już tylko borykaniem się z zakłopotaniem, spowodowanym zgubieniem inwencji, do którego autor przyznać się nie chce.

Ale że Łódź ma swego Znicza, który umie po swojemu wprowadzić, ale równie dobrze błyszczyć, jak Maszyński, więc sztuka ma powodzenie i ludzie się bawią. emb.

Nowości wydawnicze dla młodzieży

B. Tarnowska, „TAJEMNICA JANKI”, powieść dla młodzieży, 1928. Stron 200. Cena w oprawie złotych 6,60.

Powieść ta, przeznaczona dla młodzieży (zwłaszcza dziewcząt) w wieku 11 — 15 lat, ma się przyczynić do zapalenia luki, odczuwanej od szeregu lat w naszej literaturze: zupełnego prawie braku oryginalnych polskich powieści dla dziewcząt w wieku podrastania, powieści nowoczesnych, poruszających tematy, zdolne zainteresować młodzież, a zarazem uzupełnić nabywane w szkole wiadomości o Polsce. W przeciwieństwie do książek tłumaczonych z języków obcych, a także do oryginalnych polskich książek, pisanych przed kilku dziesiątkami lat, a dziś wznawianych, książka ta wyrasta na glebie polskiej i współczesnej. Styl zajmujący, fabuła budząca u młodzieży zainteresowanie, tendencja moralna zdrowa.

Szata zewnętrzna książki na wysokim poziomie. Barwna okładka wykonana przez cenionego grafika polskiego Karola Hillera.

W. Żelichowska, „SPŁACONY DŁUG”. Powieść dla młodzieży. L. Fiszer, Łódź, 1928.

Piękna ta książka porusza wszystkie struny uczucia w duszy dziecka. Miłość rodzicielską, miłość dziecięcą, niedole sieroca, poświęcenie, przyjaźń, miłość, przebaczenie — a wszystko to bez zbytejnej czułości-kowości, ujęte w sposób naturalny, z prostotą i niewymuszonością; — oto walory, które czynią z książką tę miłą dla młodzieży, a bardzo godną polecenia lekturę. Pozytywna myśl moralna wpleciona jest w żywą akcję w sposób umiejętny i pedagogiczny, tak że powieść Żelichowskiej wywrze niewątpliwie dodatni wpływ na duszę dziecka, które ją czytać będzie. Jest to książka, o której czytelnik niełatwo zapomni, długo będzie ją wspominać ze szczerem rozrzwaniem i niechętnie powróci do niej jeszcze.

Książka wydana jest starannie i ozdobnie. Sprawa miłe wrażenie schludności i prostoty.

A. Dygasiński, „BELDONEK”. Z barwnymi ilustracjami Kamila Mackiewicza. L. Fiszer, Łódź, 1927. Stron 144, cena zł. 8,—.

Nazwisko Dygasińskiego mówi samo za siebie. Beldonek nie jest zresztą książką nieznaną polskiemu czytelnikowi. Wszyscy pamiętamy ją z czasów swojej młodości. Jest to z niezrównanym połem opisana historia małego sieroty wiejskiego, który uciekł z domu „stryka” i włóczy się po kraju z „dziadkiem proszalnym”, a wreszcie po wielu przeżyciach powraca w strony rodzinne.

Książka napisana mistrzowską gwarą ludową. A. Dygasiński, „WIELKIE ŁOWY”, wydanie czwarte. Nakład księgarni Ludwika Fiszera Łódź — Katowice. Starannie wydana książka zawiera kilkanaście opisów polowań na największych drapieżników, na lwa, tygrysa, jaguara, niedźwiedzia, dziką i t. d. Każdy opis poprzedza wielobarwna ilustracja. Książka nadaje się szczególnie na podarek dla chłopców.

Co zrobiłeś dla rozpowszechnienia „PRAWDY”?

zła, — dodał na pocieszenie. — Przejdźmy do drugiego utworu. Tytuł: „Cała historia”. Tytuł dobry. Czytajmy.

Nina jej było na imię...
Czujesz wdzięk piękna w naturze?...
Tak czysta była jej dusza...
Patrz! Anioł przemknął tam w górę...

Ho, ho! Pan widuje aniołów! Pan ma dobry wzrok! Transcendentalny!
A potem mała trumienka

(Wandalski skrzywił się, jakgdyby się napił octu).

W kadzieli i gromnie dymie...

(Ojoj!) — zajęczał, chwytając się za głowę).

Słyszysz, jak serce mi pęka?...
Nina jej było na imię...

I już! Pan ma osobliwy słuch! Pan słyszy, jak serce pęka! Powinszować! Pan byłby dobrym dżagnostą! Ale to nie dla nas, proszę pana! To jest nekrologia, nekromancja, nekropoezja, trupiactwo, trumniarstwo i karawaniarstwo! Tobie nam odstraszyło wszystkich prenumeratorów. My musimy dbać o pogodę, dobry humor i dobre trawienie naszych czytelników. Non possumus! jak mówi Jego Świątobliwość... Mimo najlepszej chęci... Ale czytajmy dalej. Trzeci utwór... „Kołysanka”.

Mój maleńki ból kołysząc,
Śpiewała mi matka:
„Luli, maly! będziesz wielki,
Kiedy wzrośniesz w latka!”

—
prawda, malkol! Ból się rozrosł,
Piersi strasznie przygniata,
I już go nie ukołyszą
Wszystkie matki świata!

No, przynajmniej krótkie! Ale po co zaraz ten ból? Czekaj pan! Z tego coś będzie. Tylko zrobimy małe zmiany. Zaraz... Usuniemy ten ból... Pierwszy więc wiersz będzie poprostu:

Gdym w kołysce leżał waty —
Dalej zostanie wszystko:

Gdym w kołysce leżał waty,
Śpiewała mi matka:
„Luli, maly! będziesz...”

To tylko zamiast „wielki” — „mocny”:
„Luli, maly! będziesz mocny,
Kiedy wzrośniesz w latka!”

Dalej —

Prawda, malkol!...

Tu będzie nie ten niedołączny ból, lecz tężyna — pierś! Czego krajowi potrzeba!

Prawda, malkol! pierś urosła —

Dalszy więc trzeba będzie trochę zmienić... Zaraz... Rym do „świata”... Czekaj pan! Mam! „Krata!”

Jak potężna krata —

Co? To — mocne! Dalej — nieznaczną tylko zmianą: zamiast „ukołysz” — „pokona”:

I już dziś mnie nie pokona —

Kto nie pokona piersi, jak potężna krata? Oczywiście. —

Żaden bokser świata!

Przeczytajmy jeszcze całość:

Kołysanka.

Gdym w kołysce leżał waty,
Śpiewała mi matka:

„Luli, maly! Będziesz mocny,
Kiedy wzrośniesz w latka!”

rawda, malkol! pierś urosła,

Jak potężna krata,

I już dziś jej nie pokona

Żaden bokser świata!

—A co! — triumfalnie okrzyknął Wandalski:

— Jest w tem wszystko! Duch czasu, tężyna, nawoływanie do sportu, krzepa — jak rzepał Drgajca przyszłość kraju! Wydrukuję to w najbliższym niedzielnym numerze. Oczywiście — z podpisem pana. Te drobne zmiany — bagatelka! Przysługa koleżeń-

ska! Honorarium... Zaraz! Płacimy po 15 groszy od wiersza. Panu, jako początkującemu, po 10. 8 wierszy po 10 gr. = 80 groszy. Oto kwitek. Odbierze pan w administracji. Dziękuję. Polecam się na przyszłość.

Poeta siedział oszołomiony z wybałuszonymi oczyma, tysiącem sprecznych uczuć miotany, jak dziewczica klasztorna w czas najeżdzu hordy.

Powstał — wzruszenie nie pozwalało mu mówić. Sięgnął tylko ręką po rękopis na stole i głosem zdławionym wykrztusił:

— Dać to!

Zgarnął wszystkie trzy kartki do kieszeni, potem stanął naprzeciwko siedzącego przy biurku Wandalskiego, wytrzeszczył na niego łzami nabiegłe oczy, pierś mu wstrząsnęła i kiesi łkanie zerwane — i naraz — — —

— — — i naraz (on, taki łagodny, tak dobrze wychowany!) uniósł rękę ze swoją pieprzową laseczką i, ikając i wypłuskując rwa-

ce się wyrazy, począł przez stół okładać nią Wandalskiego.

— Masz! Masz! Ja ci!... Bokser!... Cham, cham!... Wandalski! Masz, masz!

Wandalski wtulił się głową w biurko, zakrył ją rękoma i począł krzyczeć, wzywając ratunku.

Skutek napaści, na szczęście czy na nie-

szczęście, był niewielki. Laseczka przysła za trzecim już ciosem, jak patyk niezdatny. Roz-

złał się tylko atrament i strumykiem czarnego żdziwienia spływał po biurku, kapiąc na podłogę.

Na krzyk Wandalskiego wbiegł woźny. Wtedy porwał się odważnie i Wandalski. Schwycili — nie broniącego się zresztą —

poetę za bary, wyrzucili go za drzwi i zepchnęli ze schodów.

Ślub Wandalskiego z rezydentką panną Zul-

lą odbył się w miesiąc potem, ale poeta nie uczestniczył w tej uroczystości swej kuzynki, nie otrzymałszy zaproszenia.

Wieżę o tej napaści obiegła wszystkie redakcje. W zgodnym działaniu postanowiły one zamknąć drzwi dla osoby i łamy swych

pism dla utworów poety Olimpowskiego. O otworzenie ich zresztą nie myślał on wcale zabiegać.

Tak przysła, nakształt magicznej laseczki

pieprzowej Olimpowskiego, własna jego karm-

ra, niepowściągliwością poety zlamana.

Olimpowski jednak tworzy w dalszym ciągu i zrobił znaczne postępy. Oczekuje na-

dejsia nowych czasów, nowych pism i nowych redaktorów, i bardziej żałuje zlamanej

laseczki pieprzowej, niż niedoszłej swej sławy na bruku warszawskim.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE I KRONIKA

Przed reformą systemu podatkowego

Co powinno już teraz być naprawione?

II. PODATEK PRZEMYSŁOWY.

Zasada obciążenia obrotu podatkiem następcza tyle wątpliwości, że trudno jest uwolnić się od obawy o to, by drobiazgową analizą szczegółów ustawy podatkowej nie była czasem uznana za godzenie się z zasadą podatku, jako taką. Zastrzegając się przeciwko temu, zaznaczamy, że mówimy o szczegółach tylko w rozumieniu uznanej przez Mijsję prof. Kemmerera, konieczności, dla której „obecne stosunki skarbowe nie są odpowiednie dla wprowadzenia zmian radykalnych”. Zastrzeżenia swoje przeciwko temu podatkowi Mijsja wyraziła w formie lapidarnej, wyrażając przekonanie, „że gdyby podatek nie był już wprowadzony, nie jest prawdopodobnym, aby obecnie mógł być proponowany”. Charakterystyczny podatek od dochodu brutto, jako „nieodpowiedni sposób opodatkowania handlu”, który „obciąża nierównomiernie przedsiębiorstwa, które mu podlegają, i w ten sposób narusza podstawowe zasady zdrowego opodatkowania”, Mijsja w pierwszym punkcie swoich założeń podkreśla, że „ustawa sama oraz przepisy wykonawcze powinny być znówelizowane gruntownie w celu uproszczenia języka i usunięcia zbyt skomplikowanych różniczek, zawartych obecnie w ustawie”.

To też omówić w tem miejscu najpilniejsze niedomogania tego podatku — to wobec obfitości wyboru zadanie nad wyraz trudne. W obowiązującym bowiem trybie jego wymiaru i poboru tyle jest trudności, sprzeczności i niedoręczności, że z wyliczenia ich powstałaby litanja, której nie można przedstawić decydującym władzom skarbowym, jako dezyderatu, podlegającego szybkiej realizacji jeszcze przed przeprowadzeniem gruntownej reformy.

Ograniczając zatem żądania aktualne do możliwie najwęższego zakresu, chcemy poruszyć jedną tylko sprawę — mianowicie trudność, jaką pociąga za sobą opłata t. zw. zaliczek miesięcznych. Trudność ta polega nie na fakcie wnoszenia opłat miesięcznych, lecz na tem, iż dokonywane one być muszą jako podatek za obrót, osiągnięty przez przedsiębiorstwo w ciągu miesiąca, bezpośrednio opłatę poprzedzającego.

Ten przepis ustawy przejęty został z ustawy pierwotnej z r. 1923 bez uwzględnienia zasadniczej różnicy warunków gospodarczych w tych dwóch tak bardzo odmiennych okresach.

Przypomnieć należy, że projekt dokonywania poboru w okresach miesięcznych, zamiast projektowanych półrocznych, wyszedł od samych sfer przemysłowych. Czynniki skarbowe pierwotnie sprzeciwiały się temu bardzo energicznie dla trudności natury technicznej, które wydawały im się niepokonalne. W końcu jednak dwa argumenty trafiły im do przekonania. Najprzód, że pobór półroczny przy trwającej i postępującej stale dewaluacji marki polskiej jest w swoim końcowym efekcie wielce niepewny, a powtóre, że wcale niema tyle pieniędzy w obiegu, ile by sam przemysł polski musiał wpłacać w każdym półroczu.

Przy nowelizowaniu ustawy w r. 1925-ym nie liczono się jednakże zupełnie z bardzo istotną zmianą warunków, jaka była zaszła już wtedy, a jaka w znacznie większej jeszcze jaskrawości różni czas obecny od owego okresu inflacyjnego, w którym powstał pierwszy projekt ustawy. Wówczas bowiem każda transakcja handlowa likwidowała się niezmiernie szybko, bo w okresie kilku dni, w ciągu których kupujący wnieść musiał znaczną część należności w gotówce, a resztę weksłami, bez zwłoki dyskontowanymi w ucieczce przed dewaluacją marki. Po miesiącu zatem opłacano podatek od obrotu, faktycznie zrealizowanego. Dzisiaj natomiast, kiedy weszliśmy już w stadium normalnych stosunków kredytowych i sprzedaż dokonywane są wyłącznie na weksle, te zaś składane są przez kupującego dopiero po kilku tygodniach, lub po miesiącu, **pobór podatku dokonywany jest za okresy obrotowe, faktycznie jeszcze niezlikwidowane.** Przemysłowiec płacić musi zatem podatek od obrotów, za które sam nie otrzymał jeszcze pokrycia, czyli że podatkiem swoim właściwie antycypuje obrót, temwięcej, że straty, ponoszone na niewypłacalności klientów, nie podlegają potrąceniu. W przemysłach, mających swoje

określone sezony, skupia się skutkiem tego na miesiącach sezonowych olbrzymi ciężar podatkowy, zupełnie niewspółmierny z przeciętnym obrotem miesięcznym przedsiębiorstwa. W tych miesiącach, bezwzględnie decydujących dla ogólnego poziomu obrotu rocznego, opłata podatku przedstawia trudności wprost niepokonalne.

Z tego powodu dla zakładów przemysłowych i tych handlowych, które również podlegają obowiązkowi dokonywania opłat miesięcznych, dezyderatem wprost palącym jest takie przesunięcie terminu opłaty podatku

za obrót miesięczny, by opłata ta zbiegała się mniej więcej z terminem wpływu pokrycia. Byłoby to osiągnięte, gdyby podatek zamiast po miesiącu płatny był po trzech miesiącach.

Sądzić należy, że ze strony władz skarbowych zmiana ta nie powinna nastąpić z większych trudności, bo jedynym jej doraźnym efektem ujemnym byłaby tylko 2-miesięczna luka, jaka wytworzyłaby się we wpływie opłat z tego źródła.

W nowych warunkach jednakże, w jakich znajduje się obecnie skarb wobec osiągniętych nadwyżek budżetowych i posiadanych rezerw, okoliczność ta nie powinna oddziaływać decydująco na negatywne ustosunkowanie się skarbowości do tego dezyderatu, zwłaszcza, że wynalezienie sposobu dla częściowego zapełnienia owego pierwszego okresu 2-miesięcznego, a nawet dla rozłożenia go na dwa lata budżetowe, nie nastęczyłoby żadnej trudności.

M. B.

POLEMIKA O ŻŁOBKI

„Epoka” nie pozostawiła artykułu naszego z Nr. 49 bez odpowiedzi. Pan W. D. w gorliwej trosce o ostatek słowa dla siebie uznał za konieczne zareplikować. A że zabrał mu zarzutów rzeczowych przeciw argumentom rzeczowym, przeto zrzęcznie pominał je wszystkie milczeniem, zapełnił odpowiednią ilość wierszy refleksjami ogólnikowymi, zdradzającami daremną pogonę za zabójczym ostrzem druzgoczącej kosztowności, a po za tem wygrzebał ze swego zresztą źle zaopatrzonego lamusa szereg mocno nieudanych nowych inkwektów. Tak więc ze swego korpusego pistoletu strzelał nabojem zarzutem, iż niema dyscypliny w organizacji przemysłowej, wbrew której rzekomo fabryki rozszerzają pracę kobiet i dzieci, w czym powołuje się na autorytet statystyki „Głosu Prawdy”, oraz reweluje, że są fabryki włókiennicze, które „uważają za całkiem możliwe założyć żłobki”. Tego twierdzenia jednak nie popiera już żaden autorytetem w przekonaniu, że widniejące pod repliką jego inicjały dostatecznie poręczają ścisłość jego zapewnienia. Również bez żadnych bliższych wyjaśnień ustala rzekomy pewnik, że noszenie dziecka z domu i do domu nie może być trudnym nadmiernym dla kobiet, które podobno „w fabryce dźwigają często większe ciężary i z większą dla siebie szkoda”. Szczegóły tego oskarżenia p. W. D. zazdrośnie zachowuje dla siebie.

Zastępując temi i tym podobnymi figlami rzeczowe odparcie naszych rzeczowych wątpliwości, p. W. D. na jeden tylko z naszych argumentów pozornie odpowiada wprost. Przyznaje mianowicie, że gdy chodzi o gospodarcze ujmowanie zagadnienia, to „najtrudniej o porozumienie i wspólny język z przemysłowcami”. Nie dlatego jednak, niech Bóg broni, że p. W. D. nie potrafi ujmować rzeczy gospodarcze (o, potrafiłby, gdyby tylko chciał!), ale dlatego, że ci analfabeci-przemysłowcy nie chcą ani jemu, panu W. D., ani nawet p. Krahelskiej uwierzyć, że „wzrost wydajności pracy zależy od polepszenia warunków pracy w pierwszym rzędzie i walcą „z każdą próbą uzdrowienia warunków pracy, bo zapatrują się na to li tylko z punktu widzenia interesów własnej kieszeni, nadto krótkowzrocznie ujmowanych”. Zatem tezy ekonomiczne p. W. D. są takie: dla zwiększenia wydajności pracy nieodzownym jest, by matki karmiące dwa razy dziennie na pół godziny przerywały pracę i by przy fabryce istniał żłobek; przemysłowcom zaś nie wolno ujmować zagadnień z dziedziny pracy z punktu widzenia interesów własnej kieszeni.

Pomówmy o tezie pierwszej. Dlaczego p. W. D. jest natyle nieszczerym obrońcą sprawy żłobków, że zamiast powiedzieć prosto i wyraźnie, że chodzi mu o urządzenie sanitarno-humanitarne, pożądane dla polepszenia warunków zdrowego rozwoju niemowląt, udaje, iż dba o powiększenie wydajności pracy? Przecież wtedy już o wiele byłoby łatwiej o znalezienie wspólnego języka, jako że sprawa byłaby postawiona na właściwej płaszczyźnie i p. W. D. nie potrzebowałby udawać znawcy przemysłu, ani ekonomisty, co mu się nie udaje, a przemysł nie byłby zmuszony do arcy-nieprzyjemnej i niewdzięcznej roli zwalczania humanitarnego urządzenia, jako takiego. Mogłoby odpowiedzieć poprostu, że nigdy matce karmiącej nie było wzbrażanie nie opuszczanie pracy dla nakarmienia dziecka, że jednak ani karmienie to nie potrzebu-

je, a nawet według współczesnych wskazań medycyny nie powinno być dokonywane co 2 godziny (jak to wynika z połączenia dwóch półgodzinnych przerw z przerwą obiadową), że proces karmienia nie powinien trwać aż 15 miesięcy i że wreszcie żłobek nie jest bynajmniej niezbędnym do tego atrybutem. Mogłoby powiedzieć jeszcze, że wprowadzenie dwóch 6-tygodniowych okresów wolności od pracy dla młodej matki stanowi już bardzo wydatną poprawę warunków ochrony jej zdrowia i zachowania jej zdolności do pracy nawet na cały dalszy okres karmienia. I wreszcie, że na żłobki go nie stać.

Tu już przechodzimy do drugiej tezy. Pan W. D. próżno gniewa się o to, że przemysł ujmując zagadnienie pod kątem widzenia interesu swej kieszeni. Przemysł nietylko nie może, ale i nie wolno mu ujmować zagadnień, bezpośrednio jego warsztatu wytwórczego do tychających, pod innym kątem widzenia, i narażających się na słuszny i poważny zarzut lekceważenia podstaw swego bytu, gdyby czynił inaczej. Jeżeli to jest zasadą każdego przemysłu w ogóle, to z konieczności musi nią być podwójnie dla przemysłu polskiego, jako z pewnością najuboższego naskutek przeżyć wojennych i powojennych. Pan W. D. bynajmniej nie odkrył Ameryki, ani nie zdradził ukrywanej przez kogokolwiek tajemnicy, bo przemysł przyznaje się otwarcie do niemożności poniesienia nader wielkiego nakładu pieniężnego, jakiego wymaga nieodzownie budowa, urządzenie i koszt utrzymania żłobków.

Ten zarzut zatem jest uderzeniem w próżnię, bo opór przemysłu byłby dopiero i tylko wtedy pozbawiony swej podstawy, gdyby się nie opierał na tym ważkim argumentie materialnej niemożności, tak względnie bałaganizowanej przez p. W. D. Byłoby to nawet jedynym zgola argumentem, gdyby równie ważnym drugim nie była jeszcze obawa przed niemożnością pokonania chaosu dezorganizacji pracy po wprowadzeniu dwóch przymusowych półgodzinnych przerw.

Konkretyzując stanowisko nasze w formie jaknajpopularniejszej, oszczędzającej niepowołanym wkraczanie na śliskie tory obcych im dziedzin i nieudolne symulowanie zbawiennych intencji natury gospodarczej, ujmujemy sprawę tak: żłobki dla niemowląt są w zasadzie instytucją dla dziecka pożyteczną; równa pożyteczność jednak żłobków przy fabrykach jest dla wielu względów wątpliwa, a w każdym razie dla braku doświadczeń w tej mierze na całym świecie nieudowodniona; włączenie żłobków do zakładów przemysłowych, jako części ich całokształtu, jest eksperymentem społecznym, z racją gospodarczą i wytwórczą przemysłu nie mającym żadnego związku; ani przemysł polski go, ani w ogóle ubogie gospodarstwo polskie na przeprowadzenie tego eksperymentu nie stać.

Wysnuwanie z tego wniosków o ślepotę i niewrażliwość przemysłu na zdrowotne warunki życia robotniczego jest świadomą i złośliwą demagogią, celowo zmierzającą do podburzania sfer robotniczych przeciwko przemysłowi. Demagogia również jest usiłowanie wpojenia w ogół przekonania, że żłobki są czemś niezbędnym, czemu przeczyć fakt, że niema ich w żadnym państwie na świecie.

Ale demagogia nie może oddziaływać na decyzje przemysłu, gdy wynikają one z najistot-

niejszych nakazów jego warunków materialnych i organizacyjnych, wobec czego dalsza walka przeciwko żłobkom jest nieunikniona.

Ponieważ jednak sprawa nie jest jeszcze tak bardzo pilną, walkę na pióra i papier, narazie przynajmniej, ze swej strony zawieszamy.

Z. W.

SPRAWY ROBOTNICZE

STREJKI W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

„Informations sociales” tygodnik wydawany przez Międzynarodowe Biuro Pracy, ogłosił interesującą statystykę strejków, które miały miejsce w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej w ciągu ostatnich 12 lat. Ogólna ilość tych strejków wynosiła 28,000, — ogólna ilość strejkujących 15,500,000, a straty wywołane skutkiem straconych dni pracy wyniosły przeszło 14 miliardów dolarów. 34,5 proc. strejków zakończono wyrażnym zwycięstwem robotników i tyleż wyrażnym zwycięstwem pracodawców, podczas gdy 31% zakończono kompromisowo. Największą ilość zatargów pracy zarejestrowano od r. 1914 do r. 1919. Od tego czasu ilość ich zmniejsza się regularnie i wynosiła w r. 1926 tylko 1035 wobec 3630 w r. 1919.

ROBOTNICZY ROLNI W ROSJI SOWIECKIEJ.

Bezpośrednio po rewolucji bolszewickiej używanie pracy najemnej w rolnictwie zostało w Rosji Sowieckiej zakazane. Ten zakaz faktycznie nigdy nie był stosowany, a dwa lata temu został formalnie zniesiony. Według danych „Informations sociales”, opartych na urzędowych statystykach rosyjskich, pracuje w Rosji obecnie w charakterze robotników rolnych lub leśnych około 5 milionów osób, a zatem 7,2 proc. ludności rolniczej.

Położenie tych robotników odbiega znacznie od położenia robotników przemysłowych. Kodeks pracy wydany w roku 1922 naogół w rolnictwie niema zastosowania, — obowiązują natomiast specjalne przepisy wydane w r. 1925. Przepisy te wymagają zawierania umów o pracę na piśmie oraz normują czas pracy, płace, pomoc należną w razie niezdolności do pracy itp. Przepisy te nie są jednakże ogólnie stosowane i istnieją gubernie, w których olbrzymia większość robotników rolnych pracuje na zasadzie umów ustnych.

Długość dnia roboczego wynikająca z piśmiennych umów waha się od 7 do 11 godzin na dobę w zależności od pory roku.

Około 22 proc. robotników należy do związków zawodowych, — reszta nie jest zorganizowana.

NIESZCZĘŚLIWE WYPADKI PRZY PRACY

Przyszła Międzynar. Konferencja Pracy ma się zająć środkami zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom przy pracy. Sprawą tą zajmowała się na terenie Międzynarodowego Biura Pracy w początku zeszłego miesiąca specjalna Komisja Rzeczoznawców, która do starczyła cenne materiały dotyczące ilości nieszczęśliwych wypadków przy pracy. Z danych zestawionych przez Międzynarodowe Biuro Pracy wynika n. in.:

W r. 1925 zanotowano w Niemczech ogółem 50,769 wypadków, w tem 5,285 śmiertelnych. W tym samym roku było w Niemczech przeszło 428,000 „inwalidów pracy” pobierających renty. Wysokość tych rent wynosiła w r. 1926 — 260 milionów marek złotych.

W Anglii zanotowano w r. 1926 blisko 190,000 nieszczęśliwych wypadków przy pracy w przemyśle węglowym, a około 140,000 w innych przemysłach.

We Włoszech wypłacono ofiarom nieszczęśliwych wypadków ogółem w ciągu roku 1923 około 170 milionów. Wreszcie w Stanach Zjednoczonych było w r. 1924 — 2,325,000 wypadków, w tem 21,232 śmiertelnych.

Cyfy te wyraźnie świadczą o tem, że sprawa zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom ma pierwszorzędne znaczenie społeczne.

Rynek pieniężny i giełda

Położenie na rynku akcyjnym w tygodniu ubiegłym poprawy nie osiągnęło. obroty jeszcze bardziej się zmniejszyły, wykazując w stosunku do października spadek o przeszło 50 proc. Przyczyną małego zainteresowania był przede wszystkim brak gotówki, następnie liczne płatności kupców przed końcem roku zbliżające się terminy płatności podatków etc. Nie bez wpływu pozostał na ruch giełdowym okres przedświąteczny, wymagający zwykle skoncentrowania większych zasobów gotówkowych. Klientela prywatna w dalszym ciągu zlecała prawie nie dawano. Dał się również odczuć brak zamówień zagranicznych. Banki akcyjne wskutek intensywniejszej polityki kredytowej transakcji akcyjnymi na własny rachunek prawie nie dokonywały.

Wskutek minimalnego popytu przy dość wielkiej podaży panowała w okresie sprawozdawczym na rynku akcyjnym przeważająca tendencja słaba. Dotkliwszej niż uległy Starachowice, Węglowe, Cukrowe i Rudzki. Natomiast akcje bankowe, a przede wszystkim Bank Polski, Bank Handlowy i Bank Dyskontowy utrzymały się na niezmienionym poziomie. Z akcji przemysłowych miały jedynie mocną tendencję Lilpopy nabywane od szeregu dni stałe w większych ilościach przez jeden z największych banków warszawskich oraz Ostrowieckie wskutek wypuszczenia nowej emisji akcji. Na mocy bowiem postanowienia Ministra Przemysłu i Handlu oraz Ministra Skarbu z dnia 24 listopada, kapitał zakładowy Zakładów Ostrowieckich powiększony będzie o 3.000.000 do 15.000.000 zł. drogą realizacji 60 tys. nowych akcji II emisji nominalnej wartości zł. 50 każda. Na każde 4 akcje złotowe I emisji za równo serii A jakoteż i serii B, wydana będzie jedna nowa akcja serii B. Cena emisyjna nowych akcji wynosi w Polsce 65 zł., a w Belgii 260 fr. belgijskich za sztukę. Termin ukończenia emisji: 15 stycznia 1928 r.

W grupie przedsiębiorstw przemysłowych podwyższył również Warszawskie Towarzystwo Kopalń Węgla w najbliższym czasie w myśl uchwały Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Akcjonariuszy, swój kapitał akcyjny o zł. 3 miliony do wysokości zł. 18 milionów drogą wypuszczenia 30 tys. akcji po 100 zł. Emisja ta nie stoi w żadnym związku z projektowanym przewalutowaniem bilansu Towarzystwa z tytułu zmiany waluty.

W grupie bankowej podwyższa swój kapitał zakładowy Bank Małopolski ze złotych 1 milion do kwoty zł. 5 milionów przez emisję nowych 160 tys. sztuk akcji po zł. 25 nominalnej wartości. Ponieważ z powyższych 160 tys. sztuk akcji przejęła 120 tys. sztuk grupa krajowa i zagraniczna, wyłożonych jest do publicznej subskrypcji 40 tys. sztuk po kursie emisyjnym zł. 25 w stosunku jednej akcji nowej emisji na każdą jedną dawną akcję złotową. Termin ukończenia emisji 28 grudnia 1927 r.

W grupie papierów państwowych ulegały większym wahaniom 5 proc. premjowa Poż. Dolarowa oraz 5 proc. Konwersyjna Poż. Kolejowa. Listy zastawne miały tendencję niejednorodną, pozostającą do pewnego stopnia w związku z kształtowaniem się kursów akcji.

Obrót na giełdzie dewiz był w tygodniu sprawozdawczym nadal bardzo mały, natomiast wzrósł silnie obrót dewizami między bankami akcyjnymi. Zagraniczny ruch przekazywał wskutek dokonywania większych transakcji z zagranicą, znacznie się zwiększył, a arbitraż, do niedawna ze względu na zarządzenia reglamentacyjne trudny do przeprowadzenia, stał się znowu skutecznym środkiem łagodzenia wahań kursowych. Polski rynek pieniężny, odgrywający przez długie lata rolę małego zamkniętego rynku, został wciągnięty w orbitę międzynarodowego obrotu pieniężnego.

Dolary notowano oficjalnie 8,88, dewizy na New-Jork 8,90. Bank Polski płacił za dolary 8,86 do 8,85, za dewizy zaś 8,88. Transakcje kablem na New-Jork, które ostatnio wykazywały znaczniejszy wzrost, przeprowadzano na 8,92. Przy zamianie gotówki na kabel dopłacano przeważnie 3 i pół, przy zamianie czeków na kabel 2 promille.

W obrotach prywatnych utrzymywały się dolary w granicach 8,88 i pół — 8,88 1/2 — 8,88 i pół. Za ruble złote płacono 4,73 i pół — 4,72 i pół. Gram czystego złota wynosił 5,9244. W grupie dewiz europejskich ujawniał bardzo mocne usposobienie Londyn słabiej kształtowały się kursy Berlina i Gdańska.

Złoty wykazywał na rynkach zagranicznych tendencję wybitnie mocną. Dzięki nagromadzeniu wielkich zasobów kruszczy i w lutu niezależnie naszą walutę całkowicie od wpływu bilansu handlowego. Od dnia 9 listopada do dnia 30 listopada zakupił Bank Polski ogółem złota za 15 milionów dolarów

w New-Jorku i za jeden milion funtów w Londynie. Pokrycie obiegu banknotów samem tylko złotem, bez doliczenia zasobów walutowych, wyrażało się według ostatniego wykazu cyfrą 32,1 proc.

Ruch oszczędnościowy w Polsce stale wzrasta. W Banku Gospodarstwa Krajowego wzrost wkładów wyraził się w listopadzie sumą około 19 milionów złotych. W Pocztovej Kasie Oszczędności osiągnęła ogólna suma oszczędności na dzień 30 listopada 51,5 milj. złotych, czyli wzrosła w ciągu listopada o 3,7, podczas gdy w ciągu października r. b. o 3 miliony zł. Ogólna liczba uczestników obrotu oszczędnościowego w P. K. O. wzrosła w listopadzie o 5.226. Na ostatnim posiedzeniu Rady zawiadowczej

P. K. O. uchwalono podwyższyć kwotę maksymalną wypłat dorocznych z książeczek oszczędnościowych lokowanych w urzędach pocztowych ze złotych 50 do zł. 100 z jednej książeczki. Ustalono z dniem 1 stycznia 1928 r. stawkę procentową od zwyczajnych wkładów oszczędnościowych na 6 proc., od wkładów zaś złotych w złocie na 5 proc. w stosunku rocznym. Równocześnie obniżono stawkę procentową przy kredytach lombardowych w następujący sposób: przy zastawie papierów państwowych i akcji Banku Polskiego na 9 i pół proc., papierów o popularnym bezpieczeństwie na 10 proc., a papierów dywidendowych na 10 i pół proc. w stosunku rocznym.

Ruch oszczędnościowy w bankach prywatnych wykazał w tygodniu sprawozdawczym również powien wzrost.

Awil.

Kronika gospodarcza

CENY NA RYNKU ŚWIATOWYM.

w tygodniu od 1-go do 7-go grudnia 1927 roku
(w okresie sprawozdawczym przeciętny kurs funta angielskiego = zł. 43,61).

BAWELNA:	pensy ang.
Middling amer.	10,87 1/2 10,92 1/2
Middling na termin	10,45 10,47 1/2
Półtż art.: „Sytuacja na rynku bawełny”.	

PRZEDZA BAWELNIANA:	pensy ang.
Amerykańska 32"	15 1/4 15 1/2
Egipska 60"	28 1/2 27 1/2

WELNA:	szyl. ang.
Merino najwyższy gat. (prana) za funt ang.	52 53
Merino najwyższy gat. (brudna) za funt ang.	45 46
Crossbreed przedni za funt ang.	43 44
Crossbreed średni za funt ang.	32 33

Obrót światowy wełną wzrasta się. W 12 miesiącach główne kraje importujące otrzymały w milionach funtów 2,611 wobec 2,593. Standard przedwojenny wynosił 2,000. Stany Zjednoczone są corocznie mniejszym nabywcą, podczas gdy Niemcy swe zakupy zwiększają, co przypisuje się rosyjskiemu zapotrzebowaniu.

TOPSY (czesanki):	pensy ang.
Przednie merino 70"	53 56
Dobre merino 64"	53 53
Cienkie Crossbreed	40 40

Cena topsów tak rzadko się zmienia w ostatnich trzech tygodniach grudnia, że ceny w pierwszym tygodniu uważać należy za wskaźnik roku.

JUTA:	funty ang.
Przedni gat. za tonnę	30 31

MAKA:	szyl. ang.
przednia pszena kanadyjska za worek (40 funt. ang.)	21,6 21,6

Sceptycznie zapatrują się na oficjalny raport, według którego konsumpcja Stanów Zjednoczonych od roku 1901 spadła o 21 proc. na głowę ludności.

ZBOŻE:	szyl. ang.
jęczmień za centnar angielski	11 11,3
owies za centnar angielski	10 10,3

Jęczmień i owies nieco droższe w ciągu tygodnia. Jęczmień niższych gatunków na rynkach europejskich w depresji pod wpływem Ameryki i Kanady. Dowóz owsa bardzo zmniejszony.

RYŻ:	funty ang.
Karolina za tonnę	36 36
Burma za tonnę	15,10 15,10
Ceny niezmiennione.	

JAJA:	szyl. ang.
za wielką setkę (120 sztuk)	29 27 1/2
Spadek cen w grudniu jest znamienity i dowodzi, że właściciele drobiu starają się sprostać popytowi, kiedy ceny są najkorzystniejsze.	

CUKIER BURAKOWY:	szyl. ang.
kryształ za centnar (bez podatku)	14,6 14,6
Kontynentalna produkcja cukru burakowego za pierwsze dwa miesiące nowej kampanii była dobra we Francji, Niemczech i Czechosłowacji. Również w Anglii uruchomienie cukrowni było większe.	

ŻELAZO (lane):	szyl. ang.
Nr. 1 za tonnę	67 1/2 67 1/2
Nr. 3 za tonnę	65 65
Zadnej znamiennej zmiany w cenach niema, ale podstawa jest mocna.	

CYNK:	funty ang.
Płyty za tonnę	35,05 35,05
Sztaby za tonnę	26,10 27

W ostatnich dniach zaznaczyło się polepszenie na sztaby, które w dalszym ciągu się utrzymuje.

CYNA:	szyl. ang.
Standard za tonnę	267,10 270
Oczekują, że z końcem roku przeciętna cena będzie £ 270, wobec przedwojennej ceny £ 143. — Daje to cyfrę 188 jako indeks, wskutek czego nie można mówić o depresji.	

OLÓW:	funty ang.
za tonnę	23 23 1/2
Podstawa powoli podnosi się, ruch stale ożywiony wskazuje na poprawę.	

CENY BAWELNY w New-Yorku:

loko	cent. amer.
na styczeń	19,65 — 19,65
na marzec	19,17 — 19,18
na maj	19,38 — 19,39
na lipiec	19,53 — 19,54
	19,53 — 19,55

WĘGIEL:

Za tonnę fob	szyl. ang.
najlepszy grubo	19 — 19,6
secunda	18,6 — 19
zwyczajny	18 — 18,6
drobny	13 — 13,6
brykiety	23 — 24
koks (wedł. jakości)	25 — 37,6

Nadzieje na poprawę sytuacji w Zagłębiu Wałiśkim ponownie nie ziściły się. Donoszą o świeżych unieruchomieniach szybów, mimo, że kilka kopalń pracuje przez przeszło 3 lub 4 dni tygodniowo. Wszystkie wagony, będące do dyspozycji, stoją naładowane węglem, a że nie mogą być opróżnione, właściciele kopalń nie mają innego wyboru, jak wstrzymać pracę w szybach. W bieżącym tygodniu ma się odbyć posiedzenie Węglowego Urzędu Rozjemczego dla rozważenia propozycji właścicieli kopalń co do redukcji plac, ze względu na znaczne straty, które będą musieli ponieść. 3-miesięczny okres, który zakończył się w październiku, wykazał, że produkcja w porównaniu z poprzednim kwartałem spadła z 11.138.718 ton na 10.155.097 ton, że strata w transakcjach sprzedażnych zwiększyła się z £ 593.929, czyli 1 szyl. 36 pensów za tonnę, do £ 656.838, czyli 1 szyl. 3,52 pensów za tonnę. Eksport zmniejszył się o ok. 760.000 ton, a transakcje krajowe o 240.000 ton. Koszty produkcji w okresie tym zmniejszyły się o 3,34 proc. za tonnę. Przeciętna osiągnięta cena była o 17 proc. wyższa od poziomu przedwojennego, podczas gdy płace wynosiły przeciętnie 44 proc. więcej, a koszty utrzymania 69 proc. powyżej roku 1914-go. Prace właścicieli kopalń około schematu stabilizacji cen postępują naprzód, ale wynik nie będzie mógł być osiągnięty przed końcem miesiąca.

SYTUACJA NA RYNKU BAWELNY.

Ceny w ciągu tygodnia wykazywały małe zmiany. Interes był szczupły, a rynek bez znamienitych cech, z ogólną tendencją do wycokiwania oceny zbiorów przez Biuro Szacunkowe. Uwagę zwraca się obecnie więcej w kierunku konsumpcji, a pewna miarodajna osobistość ocenia ją na 15,250,000 bal, bez linterów. Nastrój jest w dalszym ciągu na ogół wątpliwy, a interes loco mały. Podstawa jakościowa jest bardzo mocna, specjalnie dla niższych gatunków. Manchester ujawnia lekką poprawę i donosi o wielkim popycie na materiały gotowe, ale sytuacja finansowa w Lancashire jest w dalszym ciągu bardzo poważna. Sprawozdanie z Ameryki wykazuje pewne skrócenie czasu pracy w czynnych fabrykach, które dojdzie prawdopodobnie do 10 procent.

MS.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Znaczna ilość amerykańskich przedziałów bawełnianych, zwłaszcza w stanach południowych, prowadzi pertraktacje co do złączenia się kartelowego. Łączność ta ma mieć głównie charakter wielkiego syndykatu eksportowego, zapomocą którego możnaby intensywniej sprostać konkurencji zagranicznej. Rzekomo zapewnione zostało poparcie amerykańskiego departamentu handlowego w Waszyngtonie.

Według przywileju emisyjnego Banku Gdańskiego z 20 listopada 1923 r. najwyższa kwota banknotów, puszczonej w obieg przez Bank Gdański, nie może przekraczać 100 guldenów na głowę ludności, osiadłej na obszarze wolnego miasta Gdańska. Jeżeli

obieg banknotów granicę tę przekracza, wte dy nadwyżka emisji musi być pełno pokryta w monetach złotych lub biletach banku angielskiego, lub codziennie płatnych pretenzjach do banku tego, opiewających na funty angielskie. Od nadwyżki emisyjnej opłacać musi Wolne Miasto Gdańsk podatek w wysokości 5 od sta rocznie. Ponieważ ostatni spis ludności z dnia 31 sierpnia 1924 r., który wykazał osiadłą ludność w ilości 383,995 głów, uważać można za nieaktualny, ponieważ zaś z drugiej strony wykaz Banku Gdańskiego z dnia 31 października 1927 r. ujawniał już przeszło 373 miliony guldenów banknotów w obiegu, było koniecznem dokonać liczebnego ustalenia najwyższej kwoty obiegu banknotów Banku Gdańskiego. Rozporządzeniem z dnia 12 listopada r. b. senat Wolnego Miasta Gdańska podał do wiadomości, że najwyższą kwotę obiegu banknotów Banku Gdańskiego ustala się na 40 milionów guldenów.

Według wykazu Generalnego Agenta Reparatywnego za miesiąc listopad, ogólna kwota, będąca do dyspozycji państw uprawnionych, wynosi 119,588,000 marek niemieckich. W walucie zagranicznej przekazano 67,148 milj., w markach niemieckich 55,915 milj., w tem za świadczenia rzeczowe 50,907 milionów. Przekazy rozdzielają się na poszczególne państwa w milionach marek niemieckich następująco: Francja 28,061, Anglia 26,050, Włochy 8,802, Belgia 9,810, Jugosławia 3,825, Stany Zjednoczone 5,768, Rumunia 1,778, Japonia 0,300, Portugalia 0,697, Polska 0,015.

James H. Sinclair, członek kongresu oraz republikańskiej grupy farmerów, wniósł rezolucję, w której prezydent Stanów Zjednoczonych upoważniony jest do zwołania jeszcze przed Nowym Rokiem międzynarodowej konferencji, na której jednolicie uregulowane być mają obszary całego świata pod uprawę rolniczą oraz rynki produktów rolnych, ze względu na osiągnięć się mającą stabilizację cen.

Według wiadomości nowojorskiego Federal Reserve Bank, w pierwszym tygodniu grudnia wysłano do Polski złota za 3 miliony dolarów.

Walne zebranie spółki akcyjnej Kruppa w Essen zatwierdziło bilans za rok operacyjny 1926/27. Z rozdzielenia dywidendy, podobnie jak w roku ubiegłym, znowu zrezygnowano. Zeszłoroczna jawna strata w wysokości 2,1 miliona marek niemieckich zamieniła się na zysk w wysokości 13 milionów marek. Jak jednak z uważnego czytania bilansu wynika, zysk ten musiał pierwotnie wynosić około 30 milionów marek niemieckich. Około 20 milionów marek zużyto na specjalne odpisy i fundusze, które można było, jak się to w innych przedsiębiorstwach dzieje, rozdzielić na kilka lat.

Z ważnością od 1 stycznia 1928 r. wchodzi we Włoszech różne postanowienia w życie, w myśl których stwarza się markę ochronną państwową dla eksportu pomarańczy, cytryn i mandarynek. Później marka ochronna ma być rozszerzona na dalsze artykuły eksportowe, a mianowicie inne owoce południowe i jarzyny. Marka ochronna będzie udzielana przez włoski instytut eksportowy tylko szczególnie wyróżnionym firmom. Używanie marki obowiązuje do dotrzymywania pewnych postanowień o sortowaniu i jakości produktów, o ich opakowaniu, minimalnej i przeciętnej wadze owoców i zewnętrznym oznaczeniu opakowania. Zobowiązania te, przeciwko naruszeniu których wymierzane będą wysokie kary, podlegają kontroli w kraju i zagranicą przez specjalnych inspektorów.

Jak dodatek ekonomiczny „Times'a” podaje, przeciętna cena węgla w Anglii jest obecnie o 17 proc. wyższa, niż w r. 1914, natomiast płace w przemyśle węglowym są o 44 proc., a koszty utrzymania o 69 proc. wyższe, niż w r. 1914.

Powiedz znajomym

że „PRAWDE” można zamówić w każdym urzędzie pocztowym

na miesiąc, kwartał lub rok i że jest obowiązkiem każdego inteligenta, interesującego się życiem społeczeństwa i państwa czytać „PRAWDE”

JAN ORTH

Historja jego życia w świetle najnowszych badań

Arcyksięże Jan Nepomucen Salwator pochodził z linii Habsburgów Lotaryńskich, był Lotaryńczykiem. Urodził się we Florencji i miał siedem lat, gdy ojciec jego, Arcyksięże Leopold, został w wyniku włoskich walk wolnościowych wypędzony z Włoch. Matka jego arcyksiężna Marja Antonina, księżna obydwoh Sycylii, była siostrą fatalnej synowej Karola X, księżniczki de Berry. Jan Salwator zostaje we Wiedniu oficerem i mieszka w zamku cesarskim. Uważany jest za wolnomyśliciela, ponieważ jest niesforny i kłótlivy. Żyje w przyjaźni z następcą tronu arcyks. Rudolffem i podobnie jak on stara się wyróżniać płytkim i tanim liberalizmem. W rozmowie z dziennikarzem Henrykiem Pollakiem w wiedeńskim kasynie oficerskim mówi: „Jest patriotycznym obowiązkiem państwa domagać się od rządu, aby cośkolwiek uczynił dla robotników”. Pod pseudonimem Jan Traunwald komponuje piosenki. Napisał także libretto do jakiegoś baletu, który jednak bardzo szybko przepadł w operze dworskiej.

Jest ambitny i nienawidzi z całej duszy arcyksięcia Albrechta, zwycięzcę z pod Custozzy. W roku 1873 pisze broszurę p. t. „Organizacja austriackiej artylerji”, w której gwałtownie atakuje oficerów artylerji fortecznej, nazywając ich „inwalidami umysłowymi”. Cieszy się z powodu wstrzymania rozbudowy twierdzy przemyskiej, ponieważ przyszedł monarchji austriackiej widzi tylko w ścisłym sojuszu z Rosją.

Major Meinrad von Laaba publikuje niezwykle ostrą odpowiedź na broszurę arcyksięcia. Naraża się na dochodzenia dyscyplinarne, z których jednak wychodzi zwycięsko, zatrzymując stopień i pobyty i zyskując w dodatku stanowisko osobistego sekretarza arcyksięcia. Arcyksięca cesarz przenosi jednak z Wiednia do Krakowa, ponieważ minister dworu skarży się na niego. Jan Salwator miał wówczas 22 lat i do Krakowa wyjeżdża w towarzystwie kochanki, panny Stubel, siostry popularnej artystki wiedeńskiej Lori Stubel. Miała lat piętnaście, gdy ją poznał. Typowe dziecko wiedeńskie — należała do baletu w operze. Pisz na jej cześć kilka peanów. W Krakowie mieszkają wspólnie. Jest podziwiana, a on zwierza się, że przy niej zapomina o wszystkich świństwach i skandalach, na które musiał patrzeć we Wiedniu i które nawet w Krakowie go dosięgają.

Po kilku już tygodniach Jan Salwator napisał elaborat o twierdzy krakowskiej, która jego zdaniem jest niepotrzebna zarówno z punktu widzenia militarnego jak i politycznego. Atakuje w tym elaboracie ministra wojny feldmarszałka Kuhna, żołnierza z krwi i kości, który też czysto po żołniersku odpowiada. Zdaniem jego arcyksiężę jest „ciastem” które się nie udało. Najlepsza mąka, świeżutkie masło, najśłodsze rodzynki, ale zapomniano o drożdżach i zrobił się zakalec.

W roku 1878 Jan Salwator zostaje brygadierem przy okupacji Bośni, pod dowództwem słynnego Filipowicza, który Serajewo zdobywa akurat w dniu urodzin Franciszka Józefa.

W roku 1879 zostaje feldmarszałkiem. W roku 1880 wspólnie z arcyksięciem Rudolffem demaskuje na dwóch seansach u barona Hellenbacha amerykańskie medium Harry Bastiana, czego się następnie wstydzi. W roku 1883 przemawia w towarzystwie wojskowo-naukowym we Wiedniu na temat „Musztra czy wychowanie” i mówi m. in. „o serce odważne i ofiarne w piersi męskiej chodź a nie o wyuczony paradny krok na placu ćwiczeń”. Oburza na siebie skutkiem tego nie tylko arcyksięcia Albrechta, ale i cesarza i zostaje przeniesiony z Wiednia do Linczu. W roku 1887 wysłał swego marszałka dworu, barona Mensshengen do Szwajcarii celem zdeponowania w tamtejszych bankach papierów wartościowych. Obawiano się wtedy wybuchu wojny europejskiej. Rosja pozabawiła Aleksandra Battenberga korony bułgarskiej. Jan Salwator wyjeżdża z Linczu i udaje się do Wiednia. Laaba dostaje rozkaz przekupienia kilku dziennikarzy wiedeńskich, celem zamieszczenia w prasie wiedeńskiej serji artykułów. Zwrócono się do wspomnianego już Pollaka. Ten jednak odmawia. Arcyksięże spotyka się z dziennikarzem osobistym w hotelu Tegethoff. Oświadcza mu, że udało mu się namówić Ferdynanda Koburskiego, aby wystąpił jako kandydat na tron bułgarski. Chodzi tylko o to, aby ponad głowami dyplomatów stworzyć pewne fakty w tym kierunku. W razie czego arcyksiężę nie cofnie swojej pomocy: „Każe się poprosić Ferdynandowi wezwać do Sofji i zamianować naczelnym wodzem armji bułgarskiej”. A później, gdy Koburg był już na

tronie bułgarskim Jan Salwator zaczyna przeciw niemu spiskować. Laaba przechodzi na służbę do Koburga. Pewnego razu Ferdynand Koburski zastaje w jego sypialni jakiegoś obcego człowieka. Okazuje się, że jest to agent arcyksięcia, który przywiózł kompromitujące dokumenty z Wiednia. Laaba, jako spiskowiec, musiał natychmiast opuścić Bułgarię.

W międzyczasie w Linczu policja konfiskuje korespondencję arcyksięcia, rozbijając jego biurko. Dyrektor policji legitymuje się rozkazem cesarskiego gabinetu wojskowego. Jan Salwator wyjeżdża natychmiast do Wiednia. Następcą tronu zawiadamia go, że z powodu jego politycznych afer, cesarz cofa mu swoją łaskę. Traci także swoje stanowisko w Linczu. Udaje się do swoich posiadłości, do Orth pod Gmunden, gdzie posiada zamek, w którym przedtem mieszkala jego matka, zanim nie przeprowadziła się do willi Toscana. Zaczyna gromadzić zbiory artystyczne i zapełnia nimi zamek w Orth. Od czasu do czasu robi dłuższe podróże morskie na swoim jachcie w towarzystwie kochanki. Konsul generalny austriacki w Wenecji raportuje do Wiednia do ministra dworu cesarskiego: „Muszę niestety donieść Waszej Ekscelencji, że w sposób nielicujący z jego godnością, arcyksiężę afiszuje się ze swoją kochanką nie tylko na jachcie, ale także i na lądzie, co nie mogło uciec powszechnej uwagi, przyczem w żaden sposób nie pozwala sobie zwrócić uwagi na konieczność zachowania pewnych pozorów”.

Wreszcie marszałek dworu arcyksięcia, nie mogąc znieść zgorznięcia publicznego, opuszcza swoje stanowisko i donosi o tem cesarzowi, który wysłał do Jana Salvatora hrabiego Uexküll z rozkazem, aby arcyksiężę natychmiast udał się do zamku Orth. Arcyksięża poddaje się woli cesarza, marszałek dworu twierdzi jednak, że „niema innego sposobu naprawienia tego niemoralnego i nieuznającego żadnej dyscypliny człowieka, jak tylko wykluczenie go z grona rodziny cesarskiej”.

W lutym 1889 roku znajdują arcyksięcia Rudolfa z przetrzezoną głową obok Vetsery w zamczku Mayerling. Jan spieszy do Wiednia i zamieszkuje przez kilka dni w pałacu arcyks. Karola Salvatora. Cesarz przyjmuje go na audiencji i z płaczem podaje mu rękę, mówiąc: „Patrz, co zrobił mi Rudolf!” Czyżby pogodzenie się?

Jan udaje się od cesarza na naradę arcyksięcia. Tragedja Rudolfa nastraja go jeszcze bardziej opożywnie. W październiku tego samego roku jest w Zurychu w hotelu Baur-au-Lac pod nazwiskiem hrabiego Orth. Pisz dwa listy: pierwszy po włosku do swego brata Ferdynanda, drugi do cesarza Franciszka Józefa: „Za młody, aby pędzić żywot bezczynny, za dumny, aby żyć jako próżniak, hojnie wynagradzany, znalazłem się w sytuacji przykrej dla mnie i niezdolnej. Poczucie honoru zabrania mi starać się o ponowne powołanie mnie na jakieś stanowisko wojskowe, nie pozostaje mi przeto nic innego, jak tylko alternatywa: albo nadal pędzić życie księżęcego próżniaka, albo w roli zwykłego śmiertelnika starać się o stworzenie sobie nowej egzystencji i nowego zawodu”.

W dalszym ciągu tego listu Jan Salwator rezygnuje z tytułu i praw arcyksięcia i ze stopnia wojskowego, prosi cesarza o nadanie mu nazwiska nieszlacheckiego, aby poza granicami ojczyzny mógł znaleźć sobie zawód godny szacunku, który najlepiej odpowiadałby jego zdolnościom. Przypuszczalnie starać się będzie o zdobycie sobie stanowiska w marynarce.

List ten wręcza cesarzowi hrabia Schaffgotsch. Franciszek Józef: „To, co mi tutaj pisze Jan jest w gruncie rzeczy bardzo rozsądne i przyzwoite. Szkoda mi go”.

Minister dworu cesarskiego zwraca się do Jana Ortha, aby przyjął obywatelstwo szwajcarskie. Pieniężny Orth nie chce. Twierdzi, że posiada 70 tysięcy guldenów i że potrafi dać sobie rady.

Członek cesarskiej kancelarii wojskowej, węgier Csanadi, zjawia się w Zurychu i doręcza Orthowi list cesarski. Orth zbladł, przeczytawszy, że cesarz nie tylko skreślił go z listy oficerów armji i kawalerów orderu Złotego Runa, ale, że zabrania mu także kiedykolwiek przekroczyć granice monarchji austriackiej - węgierskiej, czy to w celu stałego, czy też chwilowego tylko pobytu. A więc wypędzony z granic państwa i napiętnowany.

Orth udaje się do Paryża. Z Paryża nie do Cannes, jak oświadczył dyrektorowi hotelu, lecz do Hamburga i do Anglii. Jan Lon-

dynie bierze ślub z dotychczasową kochanką p. Stubel. W grudniu jest w Liverpoolu w hotelu North Western. Posiada austriacki patent kapitana morskiego dla podróży dalekich. Kupuje żelazny trójmasztowiec o pojemności 1368 tonn. „Santa Margherita” wywiesza „starą” austriacką flagę. Załogę stanowi dwadzieścia jeden marynarzy kroatów i trzech oficerów: kapitan Sodich, porucznicy Suchi i Leva. Orth sam jest pierwszym oficerem. Statek bierze ładunek cementu do La Plata.

Dnia 26 marca 1890 r. pisze w dzienniku podróży: „Ciągnięty przez holownik, statek mój, cichy i niemy, przez nikogo nie odprowadzany, przez nikogo nie witany ani żegnany, sunąć będzie wzdłuż Tamizy, by za kilka godzin przy ponurej, deszczowej pogodzie, rozpiąć żagle na morzu. Na pokładzie jego znajduje się człowiek, który wszystkie swoje nadzieje utopi w tem morzu”.

W czasie podróży, ponieważ jest nierozważny i niepróżnoważny, popada w częste zatargi z załogą. Po przybyciu do Buenos Aires opuszczają go wszyscy trzej oficerowie i część marynarzy. Natomiast pojawia się na pokładzie pasażerka. Panna Milly, berlińska z pochodzenia, która w maju przybyła do Argentyny.

Orth stara się o uzupełnienie załogi. Wierbuje dwóch oficerów. Sam chce być kapitanem, pomimo, że nie odbył wymaganej czteroletniej praktyki. W Ensenada bierze piasek jako balast. Z pewną firmą w Valparaiso zawiera umowę, w myśl której ma załadować tam do 1 października transport saletry.

W liście do arcyksiężnej Toscany pisze: „Teraz nadchodzi najtrudniejszy i najcięższy etap mojej podróży: okrażenie przylądka Horn. Jeśli wszystko się uda, za dwa miesiące będziemy w Valparaiso. Stamtąd mam zamiar udać się w powrotną drogę do domu, jeśli tak się podobać będzie Bogu”.

W liście zaś do Pollaka: „To samo w sobie bardzo trudne zadanie żeglarskie, utrudnia jeszcze ta okoliczność, że znajdujemy się w okresie niekorzystnej pogody”.

Panna Milly pisze do swej rodziny: „Nie wiem, czy przeżyję tę podróż — wasza biedna i niezadowolona Milly”. Ostatni list Jana Ortha adresowany jest do tego wiedeńskiego adwokata D-ra von Haberlera i nosi datę Port La Plata, 12 lipca 1890 r.

„Santa Margherita” odpłynęła. Po siedmiu dniach znajdowała się na wysokości Cap Desire. Dnia 21 lipca zrywa się gwałtowna burza, z której cało wychodzi parowiec „Kambyzes” należący do linii „Kosmos” i przywozi wiadomość o jej rozmiarach. W czasie tej burzy, gdzieś między północą a czwartą rano musiała zatonać „Santa Margherita” w pobliżu Kap Fres Puntas.

Do połowy sierpnia trwały burze z gradem i śniegiem. Po zaginionych ani śladu. Bez rezultatu pozostają skrzętne poszukiwania, prowadzone przez argentyńskie krawężniki „Bermejo” i „Toro” wzdłuż całego wybrzeża i po najbardziej ukrytych i niedostępnych osiedlach Indian.

Wiedeńska policja publikuje rysopis zaginionego: „wiek 47 lat, wzrost średni, raczej wysoki niż niski, nos regularny, oczy głęboko osadzone, krótkie, ciemne włosy i mała bródka. Znajduje się w towarzystwie kobiety, która stała się jego żoną. Arcyksięża ma wybitnie wojskową postawę. Przy dokładnej obserwacji można spostrzec, że J. Cesarska Wysokość nosi małą peruczkę”.

Od tego czasu Jan Salwator stał się nieśmiertelny i wszechobecny. Pojawił się jako farmer na wyspach Robinsona Juan Fernandez pod nazwiskiem szwajcara Rotha, to znów żyje w Argentynie w mieście Concordia jako wiedeńczyk Hirsch. Według innej wersji mieszka w Alzacji i posiada zajazd w Miluzie, według jeszcze innej mieszka jako baron Otto w paryskim Grand-Hotelu. Widziano go także między poszukiwaczami złota w Klondyke a według innych żyje jako Van Orth w południowej Ameryce wśród burów.

Jeden z pacjentów szpitala w Charleville, francuz Renaux, opowiada, że widział go w towarzystwie młodej blondynki w La Plata przed odjazdem do Valparaiso, poczem w grudniu spotkał go w Buenos-Aires pod nazwiskiem Don Juan. Bilgijczyk Lecointe widział go w Patagonji pod nazwiskiem Fryderyka Ottena. Miał tam polować na pumy i strusie. Widziano go także w Kairze. Zdemaskowano go w pampasach chilijskich, gdzie ukrywał się jako półdziki pasterz

Gringo Don Ramon. Zdradził go kubek srebrny z dwugłowym orłem, którym czerpał wodę. Jakiś lekarz w Denver ogłasza, że ma do sprzedania szkielet arcyksięcia „pod gwarańcją prawdziwy i nieuszkodzony”.

Jan Orth umiera także w nowojorskim szpitalu jako uczony Dr. Orth a panna Grace Wakefield po jego śmierci popełnia samobójstwo z żalu za nim.

Umiera także we Wiedniu, jako kelner Albert Göbel, zamieszkały przy ulicy Pazmantengasse. Leopold Wölling, bratanek Jana Salvatora, który również wyrzekł się swego rodu i przywilejów oglądał nawet zwłoki tego kelnera w instytucie anatomicznym.

W roku 1926 Orth umiera w Southampton jako marynarz inwalida, mąż Katarzyny Tuppein i ojciec czternaścioro jej dzieci. Ale najczęściej pojawia się Jan Orth w szpitalach dla umysłowo-chorych. Co pewien czas jakiś mieszkaniec tych zakładów „przypomina” sobie swoje pochodzenie i kategorię twierdzi, że jest Janem Orth.

I. W.

Pożyteczne wydawnictwa

Kasa im. Mianowskiego wydała świeżo „Słownik Tkacko - Wykończalnicy w 5 językach” pióra p. Adama Trojanowskiego, dyrektora Państwowej Szkoły Włókienniczej w Łodzi.

Jest to mała, bardzo poręczna książeczka, formatu 8-o, doskonale nadająca się do noszenia w kieszeni, co bardzo jest ważne ze względu na jej przeznaczenie. Przeznaczeniem jej bowiem jest walka z obydnym żargonem, wprowadzonym do słownictwa polskiego przez brutalne nadanie końcówek polskich wyrazom, żywcem przeniesionym z terminologii obcej. W drugim rzędzie zaś ma ona służyć tym liczny pracownikom, którzy albo, jako cudzoziemcy, nie znają dostatecznie języka polskiego, albo też, jako wychowawcy obcych zakładów naukowych, nie znają terminologii polskiej, a nie chcą kazić języka szpetnymi naleciałościami. Podział na działy angielsko - polski, francusko - polski, niemiecko - polski i rosyjsko - polski jest niezmiernie celowy, gdyż sprzyja wyparciu terminów niemieckich, rozpowszechnionych w fabrykach włókienniczych, i angielskich, przeważających w bawelnianej, oraz ułatwia orientację liczny francuzom, czynnym w fabrykach francuskich w Polsce, jak również tej wielogłowej rzeszy pracowników kierowniczych, którzy pracując przed wojną w Rosji, rosyjską nomenklaturę sobie przyswoili. Dział pierwszy, polski, daje przykład każdego terminu na każdy z powyższych czterech języków.

Całość poprzedzona jest bardzo zwięzłym i przejrzystym, popularnie ujętym wstępem rzeczowym, dającym czytelnikowi pełne i jasne wyobrażenie o procesach tkackich i wykończalnicych. Ma to swoją wielką wartość nie dla fachowców, ale dla kształcącej się ekonomicznie młodzieży, która zajmując się gospodarstwem przemysłem włókienniczym, nie ma o technice jego żadnego pojęcia, niezbędnego jednak dla należytego rozumienia niektórych ważkich zagadnień natury czysto - ekonomicznej. Tak rozumiemy cel tego wstępu, innej racji w tej książce pozbawionego.

W terminologii polskiej wykazał autor dużo wyuczucia i inwencji, stwarzając wyrazy o dobrem polskim brzmieniu, jak np. „bidło”, „pociągiciel”, „zalamek”, „bard”, „wodzidło”, które jednak niewątpliwie nie wcześniej wejdą do użytku powszedniego, niż młodzież, obecnie łachowio się kształcąca, nie przemiesi ich ze sobą ze szkoły do życia. Są jednak i inne, które w samym brzmieniu swoim tak wyraźnie zdradzają swoje znaczenie (np. „napawarka”, „składarka”, „nakraplarka”), że bez trudności stać się mogą odrazu własnością powszechną. Dzieło jest nacechowane wielką troską o czystość języka (dowiadujemy się np. że „krochmal” nazywa się „skrobion”), a jednak pozbawione jest manjactwa w dziedzinie stwarzania neologizmów i pozostawia niektóre zakorzenione już wyrażenia, jak np. „dzygier”, „molesta” i inne, a nawet niepotrzebnie, naszym zdaniem, przysławne obywatelstwo szpetnej „lity” (Litze), obok której na drugim miejscu dopiero postawiona jest „struna”.

Ze wszystkimi słownikami polskimi i ten słownik podziela błąd, polegający na nadmiernym nadużywaniu odsyłaczy z dopiskiem „ob”. W niektórych miejscach są całe szeregi słów, które odsyłają do innego miejsca, zamiast poprostu wskazać jego brzmienie w innym języku. Naskutek tego zdarzają się nawet takie dziwolągi, że np. „podnożek” odsyła do „podnośnika”, a „podnośnik” do „pedału”.

Opracowaniem słownika p. Trojanowski pomógł wybitnie swoje zasługi, zapoczątkowane już słownikiem przedziałnic, a tak wybitnie pożytecznym światem kierownictwem Szkoły Włókienniczej, kształcącej młodzież polską na wykwalifikowanych, dzielnych i nie tylko jednostronnie wykształconych fachowców włókienniczych. Zamierzone połączenie obudwu słowników w jeden wielki słownik fachowy ogólnie - włókienniczy będzie szczerem uwiecznieniem mozolnej pracy.

M. B.

Do dzisiejszego numeru dotychczas nadestane nam przez Kasę Chorych m. Łodzi sprawozdanie rachunkowe za rok 1926-ty.

Rep. E. Nr. 1261/1927 r.

OGŁOSZENIE.

Komornik przy Sądzie Okręgowym w Łodzi Wacław Walter w Brzezinach zamieszkały, na zasadzie art. 1030 U. P. C. ogłasza, że dnia 30 grudnia 1927 r. o godzinie 10 z rana w Nagawkach gm. Dmosin odbędzie się sprzedaż przez publiczną licytację nieruchomości należących do Walentego Siedleckiego, a mianowicie: Inwentarz żywy i siera żyła ocenionych na zł. 1500.

Brzeziny, dnia 9. 12. 1927 roku.

Komornik:

Wacław Walter.

Premie książkowe

Na premie książkowe dla tych naszych prenumeratorów, którzy zjedną nam nowego prenumeratora. Zjednany prenumerator powinien przekazać administracji „Prawdy” należność za I półrocze 1928 r. w kwocie zł. 8.—, poczem niezwłocznie rozpoczniemy wysyłkę „Prawdy” na jego adres.

Premie książkowe wysyłamy po otrzymaniu zawiadomienia o zjednaniu nowego prenumeratora i podaniu nam jego nazwiska.

Na premie przeznaczamy następujące książki:

Błąd

Najnowsza powieść Zygmunta Kisielewskiego — stron 236.

Pamiętnik pacjentki

skomentowany i zaopatrzony wstępem przez D-ra Adama Wiza Jedną z najciekawszych i najbardziej sensacyjnych książek, które pojawiły się w ostatnich czasach.

Stron 228.

TANCZĄCE SIOSTRY

Powieść z życia panien z ziemianstwa Anny Mittelstädt. Stron 288

— TEA VON HERBÖU —

Metropolis

Sensacyjna powieść fantastyczna, która stała się tematem dla słynnego filmu.

MAURICE DEKOBRA

PODROZ LORDA SEYMOURA

Najnowsza powieść najgłośniejszego francuskiego pisarza obecnej doby.

PAUL MORAND

EUROPA SWAWOLNA

Powieść, która rozeszła się w milionach egzemplarzy po całym świecie. Jest to współczesny Dekameron

Cena każdej z tych książek w handlu księgarskim wynosi od 7 do 8 złotych.

Łódzkie Towarzystwo Elektryczne, Sp. Akc.

SKLEP

(w gmachu Grand-Hotelu, ul. Traugutta Nr. 1. Tel. 61-28)

ODDZIAŁ SPRZEDAŻY DETALICZNEJ ARTYKUŁÓW ELEKTROTECHNICZNYCH GRZEJNYCH.

Poleca na prezenty gwiazdkowe!

Imbryki, maszynki do kawy i herbaty. Garnczki do gotowania—różnych wymiarów. Wentylatory sufitowe, biurkowe i ramowe. Inhalatory.

Dla Pp. Radjoamatorów kolby do lutowania. — Dla Pp. Fryzjerów suszki do włosów.

Płace różnego rodzaju grzejniki promieniujące. Skrzynki świetlne. Poduszki Elektryczne (Termofory). Aparaty do nagrzewania żelazek do włosów dla pań. Odkurzacze. Szczotki do froterowania. Dla sklepów GRZĄDKI DO NÓG. Kuchnie, kuchenki i płytki oraz inne artykuły elektrotechniczne, w zakres grzejnictwa wchodzące. Samoczynne aparaty do gotowania „IZOTERMY”. Pralnie elektryczne „SAVAGE”,

które sprzedajemy za gotówkę i na wygodne spłaty w ratach.

Komplety świeczek choinkowych.

JAKO OKAZJE

polecamy tylko naszym Odbiorcom reklamowe żelazka do prasowania w cenie

zł. 30.—

płatnych w ciągu 15 miesięcy po zł. 2 miesięcznie.

UWAGA: Najtańsze źródło zakupu żarówek.

Pp. Odbiorcy energii elektrycznej Ł. T. E., Sp. Akc., pragnący skorzystać z powyższego udogodnienia, zechcą się zgłosić do Sklepu Elektrycznego, ul. Traugutta 1, gdzie po przedstawieniu jakiegokolwiek z opłaconych rachunków za dostarczoną energię elektryczną i załatwieniu formalności otrzymają nabyty przedmiot.

OBWIESZCZENIE.

Komornik przy Sądzie Okręgowym w Łodzi na powiat brzeziński Wacław Walter w mieście Brzezinach zamieszkały obwieszcza, że na żądanie Wincen- tego Oskierki odbędzie się w dniu 9 marca 1928 roku, od godz. 10 rano w sali posiedzeń Sądu Okręgowego w Łodzi przy ulicy Żeromskiego 115, publiczna sprzedaż przez licytację nieruchomości w mieście Strykowie pow. brzezińskiego położonej.

Nieruchomość ta składa się z placu przy ulicy Rynek Nr. 51 położonego, z nieruchomościami Ab- rama - Fiszla Golda, Abrahama Morgenszterna i Chaima Gołerta granicząca; na placu tym znajdują się zabu- dowania: 1) frontowy dom mieszkalny z bali pod pa- pą z poddaszem, 2) oficyna murowana nowa, 3) mury z cegieł pod oficyną — szczegółowo wykazane w opi- sie z dnia 20 września 1927 r.

Nieruchomość ta ma zaprowadzoną księgę hypo- teczną rep. hyp. Nr. 38 oznaczoną i w wydziale hypo- tecznym przy sądzie pokoju w Brzezinach przechowy- waną; obciążona jest długami i ewidencjami hipotecznymi na sumę zł. 2743 gr. 55 i rb. 2016; w zastaw odda- ną nie jest; w dziale drugim wykazu hipotecznego za- pisana jest na imię dłużnika Szlamy - Fałka Fassa; właściciel Szlama - Fałka Fass nieruchomości tę da- rował niepodzielnie Jakubowi - Judzie Tenenbaumowi, Jankłowi Braunowi, lecz przepisanie tytułu wła- sności, na obdarowanych mocą decyzji Wydziału Hypo- tecznego zostało zawieszane; podlega sprzedaży w całości podług opisu; prawo przejazdu przysługuje przez sąsiednią nieruchomość Nr. 51, własność Abrahama Morgenszterna; zaś sieni frontowa stanowi wspól- ną własność z tymże Morgenszternem i służy do wspólnego użytku.

Licytacja rozpocznie się od sumy zł. 4000 (cztery tysiące).

Osoby zamierzające wziąć udział w licytacji obo- wiązaną będą złożyć kaucji w kwocie złotych 400 (czterysta).

Komornik:

Wacław Walter

Rep. E. Nr. 1266/1927 r.

OGŁOSZENIE.

Komornik przy Sądzie Okręgowym w Łodzi Wacław Walter w Brzezinach zamieszkały, na zasadzie art. 1030 U. P. C. ogłasza, że dnia 30 grudnia 1927 r. o godzinie 10 z rana w Kraszewku gm. Dmosin odbędzie się sprzedaż przez publiczną licytację nieruchomości należących do Ignacego Olszewskiego, a mianowicie: Inwentarz żywy, oceniony na zł. 620.

Brzeziny, dnia 9. 12. 1927 roku.

Komornik:

Wacław Walter.

WYDZIAŁ REJESTRU HANDLOWEGO SĄDU OKRĘGOWEGO W ŁODZI

Do Rejestru Handlowego w Łodzi, działu A i B. wniesiono następujące wpisy za Nr. Nr.:

Nr. 274/B. „Dom Handlowy „Unja” Spółka z o- graniczoną odpowiedzialnością” z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 102. Na mocy aktu zeznanego przed No- tarjuszem Trojanowskim w Łodzi 20 września 1924 r. R. N. 7349 Hugo Greser, Paweł Greser i Stanisław Lis ze spółki wystąpili.

Nr. 193/B. „Jeneralna Kompanja Przemysłu prze- działanego — Towarzystwo Anonimowe zakładów Allart, Rousseau i S-ka. Centrala w Roubaix, Francja, Oddział w Łodzi, Kątna 19. Zarząd stanowią: Geo- rges Allart, Jean Cavois, Cesar Lagage, Henry Mul- licz, Saint - Allart Pierre, Christian Saint. Prokurent Józef Rozenband zmarł.

Nr. 335/B. „Anker, spółka z ograniczoną odpo- wiedzialnością” z siedzibą w Łodzi, Długa 81. Firma została zlikwidowana.

Nr. 680/B. „Mechaniczna fabryka kopert i wyro- bów papierowych Stanisław Kowalewski i Emil Mir, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością” z siedzibą w Łodzi, Główna 31. Na mocy aktu zeznanego przed Notarjuszem Trojanowskim w Łodzi dnia 7 września 1927 r. za N. Rep. 1872 spółka została rozwiązana.

Nr. 581/B. „Towarzystwo dla Przemysłu i Handlu Włókienniczego S. A. Grosłajt, Spółka Akcyjna” z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 21. Kapitał zakłado- wy spółki został powiększony o zł. 375 000, czyli do złotych 500 000 podzielonych na 50 000 akcji po 10 zł. akcja. Na mocy postanowienia Ministrów Przemys-łu i Handlu oraz Skarbu z dnia 8 czerwca 1927 r. ogłoszonego w N. 137 „Monitora Polskiego” kapitał zakładowy spółki został powiększony o zł. 125 000 drogą III emisji nowych akcji i o zł. 250 000 czyli do zł. 500 000 drogą IV emisji nowych akcji.

Nr. 703/B. „Fabryka Artykułów Fotograficznych „Delta” spółka z ograniczoną odpowiedzialnością” z siedzibą w Łodzi, Piotrkowska 110. Kapitał zakłado- wy obecnie wynosi 21 000 zł. podzielony na 42 udzia-ły po 500 zł. każdy.

Nr. 739/B. „Laboratorium Chemiczne - Kosmety- czne „Line”, spółka z ograniczoną odpowiedzialno- ścią” z siedzibą w Łodzi, Południowa 23. Na mocy aktu z dnia 30 grudnia 1926 r. za N. 16758 zeznanego przed Notarjuszem Kahlem w Łodzi ze spółki wystą- pił Boruch Hurwicz i udziały swoje scedował na rzecz Adama Szykiera.

Nr. 620/B. „Powszechne Towarzystwo Elektry- czne A. E. G. Spółka z ograniczoną odpowiedzialno- ścią” z siedzibą w Warszawie, Oddział w Łodzi, Piotrkowska 165.

Nr. 47/B. „Bank Handlowy, Spółka Akcyjna” z siedzibą w Warszawie, Oddział w Łodzi, Mieczysła-

wowi Ehrlichowi została udzielona łączna prokura dla Oddziału Banku w Łodzi, z tytułem wicedyrek- tora tegoż oddziału.

Nr. 550/B. „Towarzystwo Handlowe „Żelazo”, Spółka Akcyjna” z siedzibą w Pabjanicach, Plac Ta- deusza Kościuszki 48. Kapitał zakładowy, spółki zo- stał powiększony o zł. 80 000 czyli do zł. 100 000 po- dzielonych na 10 000 sztuk akcji po 10 zł. każda. Na mocy postanowienia Ministrów Przemysłu i Handlu oraz Skarbu z dnia 23 czerwca 1927 r. ogłoszonego w N. 193 Monitora Polskiego kapitał zakładowy spółki został powiększony o zł. 80 000.

Nr. 9687/A. „Karol Chądzyński i S-ka” z sie- dzibą w Łodzi, Piotrkowska 164. Firma została zli- kwidowana dnia 1 października 1927 r.

Nr. 5538/A. „Kalman Brauer” z siedzibą w Ło- dzi, Dąbrowska 15. Firma obecnie brzmi: „Fabryka Przędzy glancowanej, tasiem i sznurówadel Kalman Brauer”, Łódź, ul. Św. Anny N. 14/16.

Nr. 10136/A. „Józef Makówka i S-ka” z siedzi- bą w Łodzi, Główna 2. Firma obecnie brzmi: „Hele- na Kulińska (Główna 2), Helena Skurkowska (Sosno- wa 8) obie w Łodzi. Na mocy aktu zeznanego przed Notarjuszem Kahlem w Łodzi dnia 8 listopada 1927 r. N. R. 17031 przedsiębiorstwo zostało sprzedane. In- terczyz wspólniczy nie zawarli.

Nr. 273/B. „Syndykat Rolniczy w Łodzi, Spółka Akcyjna” z siedzibą w Łodzi, Kilińskiego 50. Oddzia-ły w Widawie i w Łodzi przy ul. Pańskiej 33 zostały zlikwidowane z dniem 1 stycznia 1927 r. Kierownik oddziału w Poznaniu Franciszek George został zwol- niony.

Nr. 439/B. „Towarzystwo Wyrobów Włókienni- czych I. M. Pilicer, Spółka Akcyjna” z siedzibą w Łodzi, Karola 3. Komisję likwidacyjną stanowią: Zelig Bromberg, Mojżesz Prywes i Juda Pilicer. Firma znaj- duje się w likwidacji.

Nr. 634/B. „Przedsiębiorstwo Rowa, Spółka z ogra- niczoną odpowiedzialnością” z siedzibą w Łodzi, Wierz- bowa 15. Zarząd obecnie stanowią: Szulem Rozen- blum, ul. Aleja I Maja 32 i Adolf Mendelson, ul. Za- chodnia 57, obaj w Łodzi.

Nr. 763/B. „Hurtownia Komisowa w m. Łodzi, Przegaliński i S-ka”, spółka z ograniczoną odпові- dzialnością” z siedzibą w Łodzi, Traugutta Nr. 1. Ot- warto oddział w Warszawie przy ulicy Leszno Nr. 51.

Nr. 6928/A. „Henoch i Abram Blansztajn” z sie- dzibą w Łodzi, Franciszkańska 19. Firma została zli- kwidowana w roku 1926.

Nr. 10081/A. „Szejwa Szlesser i S-ka” z siedzi- bą w Łodzi, Piotrkowska 73. Firma została zlikwi- dowana.

Koniec roku

Wszystkich prenumeratorów, którzy dotychczas jeszcze nie uregulowali prenumeraty do końca grudnia prosimy o przekazanie administracji „Prawdy” zalegających kwot przed 1 stycznia.

Spełnienie tej prośby bez specjalnych przypomnień oszczędzi nam wiele zbytecznej pracy administracyjnej.

Nr. 6175/A. „Sprzedaż Konfekcji damskiej i manufaktury Julian Siegel” z siedzibą w Łodzi, Gdańska 23. Siedziba firmy mieści się obecnie w Łodzi przy ulicy Moniuszki Nr. 3.

Nr. 10783/A. „Hersz Halberg” z siedzibą w Łodzi, Nowomiejska 3. Prokurentem firmy jest Szama Halberg, ulica Zawadzka 9 w Łodzi.

Nr. 2750/A. „Józef Babad” z siedzibą w Łodzi, Wólczańska 239. Prokurentami firmy z prawem łącznego żyrowania weksli i podejmowania wszelkich sum są: Hirs Dobkin, Sienkiewicza 9 i Hugo Szynkler, Leszno 47 obaj w Łodzi.

Nr. 7588/A. „Agnieszka Mentzel” z siedzibą w Łodzi, Brzezińska 40. Otwarto filię w Łodzi przy ul. Przejazd Nr. 1.

Nr. 1607/A. „B. Holc” z siedzibą w Łodzi, Nawrot 64. Firma obecnie brzmi: „Bogumił Holc”, Łódź, Franciszkańska 11. Bogumił Holc zam. obecnie Łódź, Franciszkańska 11.

OGŁOSZENIE Nr. 32.

Nr. 11637/A. „Edward Wegner”. Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1895 r. Łódź, Młynarska 38. Właściciel, Edward Wegner, zam. w Łodzi przy ul. Młynarskiej 38. Interocy nie zawarł.

Nr. 11638/A. „Leon Wójcik”. Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1 maja 1927 r. Łódź, ul. Andrzeja 52. Właściciel, Leon Wójcik, zam. w Łodzi przy ul. Andrzeja 52. Interocy nie zawarł.

Nr. 11639/A. „Edward Wagner”. Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1925 r. Łódź, Zgierska 67. Właściciel, Edward Wegner, zam. w Łodzi przy ulicy Zgierskiej 67. Interocy nie zawarł.

Nr. 11640/A. „Władysław Tokarski”. Handel win, wódek i towarów kolonialnych. Firma istnieje od 1919 r. Łódź, Łagiewnicka 34. Właściciel, Władysław Tokarski, zam. w Łodzi przy ul. Łagiewnickiej 34. Interocy nie zawarł.

Nr. 11641/A. „Adolf Stejdel”. Sprzedaż wyrobów tytoniowych. Firma istnieje od stycznia 1927 r. Łódź, Zgierska 67. Właściciel, Adolf Stejdel, zam. w Łodzi przy ulicy Zgierskiej 67. Interocy nie zawarł.

Nr. 11642/A. „Helena Klapitka”. Restauracja. Firma istnieje od 1919 r. wś Kuciny, gm. Puczniew. Właścicielka, Helena Klapitka, zam. we wsi Kuciny, gm. Puczniew. Interocy nie zawarł.

Nr. 11643/A. „Antoni Tymiszek”. Sklep rzeźniczy - masarski. Firma istnieje od 1907 r. Łódź, Brzezińska 116. Właściciel, Antoni - Adam - Jan Tymiszek, zam. w Łodzi przy ulicy Brzezińskiej 116. Interocy nie zawarł.

Nr. 11644/A. „Izaak Rozental”. Drobną sprzedaż papieru i materiałów piśmiennych. Firma istnieje od 1917 r. Łódź, Nowomiejska 29. Właściciel, Izaak Rozental, zam. w Łodzi przy ulicy Nowomiejskiej 26. Interocy nie zawarł.

Nr. 11645/A. „Wrzeciono” właściciele Matys Maks Hercberg i Matys Zawadzki”. Prydzalnia. Firma istnieje od 1 października 1926 r. Łódź, Nowo-Cegielniana 64. Właściciele, Matys vel Maks Hercberg i Matys Zawadzki, obaj zam. w Łodzi przy ul. Nowo-Cegielnianej 66. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 31 lipca 1929 r. z automatycznym rocznym przedłużaniem. Zarząd należy do obu wspólników. Wszelkie zobowiązania, akcepty i weksle własne podpisują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmowym. Natomiast do odbioru wszelkich należności, przesyłek, korespondencji zwyczajnej, poleceniej, wartościowej i pieniężnej oraz podpisywania pod stemplem firmowym żyra na wekslach, czekach i przekazach bankowych, jak również do udzielania substytucji adwokatów i obrońców sądowym dla prowadzenia spraw, upoważniony jest każdy ze wspólników samodzielnie. Na mocy aktu interocy zeznanego przed Notarjuszem Trojanowskim w Łodzi dnia 1 grudnia 1910 r. za N. 10230 między Hercbergiem i żoną jego Esterą i na mocy aktu interocy zeznanego przed Notarjuszem Rybarskim w Łodzi dnia 1/18 listopada 1912 r. między Zawadzkim a jego żoną Esterą została ustalona wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 11646/A. „Aleksander Leopold Koźmiński”. Tkalnia mechaniczna zarobkowa. Firma istnieje od 1 lipca 1927 r. Ruda Pabjanicka, ul. Łąkowa. Właściciel Aleksander Leopold Koźmiński, zam. w Rudzie Pabjanickiej przy ulicy Łąkowej dom własny. Na mocy aktu zeznanego przed Notarjuszem Jęzewskim w Łodzi dnia 28 kwietnia 1923 r. za N. 2590 została ustalona między właścicielem firmy i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 11647/A. „Aron Pelberg”. Tkalnia. Firma istnieje od 1 lipca 1927 r. Łódź, ulica Zawadzka 16. Właściciel, Aron Pelberg, zam. w Łodzi przy ulicy Południowej 6. Interocy nie zawarł.

Nr. 11648/A. „Uszer Tems”. Drobną sprzedaż odpadków i szmat. Firma istnieje od 1915 r. Łódź, Pomorska 42. Właściciel, Uszer Tems, zam. w Łodzi przy ulicy Pomorskiej 40. Na mocy aktu interocy zeznanego przed Notarjuszem Piachowskim w Prasnyszu 26 stycznia 1910 r. R. N. 51 została ustalona między właścicielem firmy i jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 11649/A. „Władysław Kołodziejski”. Tkalnia mechaniczna zarobkowa wyrobów jedwabnych. Firma istnieje od 1925 r. Łódź, Zamenhofska 10. Właściciel, Władysław Kołodziejski, zam. w Łodzi przy ulicy 28 pułku Strzelców Kaniowskich 69. Interocy nie zawarł.

Nr. 11650/A. „Leon Trzeba”. Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1918 r. Łódź, ulica Zawiszy 24, filja w Łodzi przy ulicy Narutowicza 44. Właściciel, Leon Trzeba, zam. w Łodzi przy ul. Zawiszy 24. Interocy nie zawarł.

Nr. 11651/A. „Abram - Szmul Tojerman”. Drobną sprzedaż galanterii. Firma istnieje od 1919 roku. Łódź, Nowomiejska 19 (Hela). Właściciel, Abram Szmul Tojerman, zam. w Łodzi przy ul. Północnej 14. Interocy nie zawarł.

Nr. 11652/A. „Franciszek Ułański”. Piwiarnia. Firma istnieje od 1918 r. Łódź, Brzezińska 40. Właściciel Franciszek Ułański, zam. w Łodzi przy ulicy Brzezińskiej 40. Interocy nie zawarł.

Nr. 11653/A. „Mordka Winter”. Sklep tytoniowy i sprzedaż artykułów piśmiennych. Firma istnieje od 1917 r. Łódź, Brzezińska 31. Właściciel, Mordka Winter, zam. w Łodzi przy ulicy Drewnowskiej 11. Interocy nie zawarł.

Nr. 11654/A. „Szama Witenberg”. Sprzedaż papieru. Firma istnieje od 1917 r. Łódź, Łagiewnicka 13. Właściciel, Szama Witenberg, zam. w Łodzi przy ul. Łagiewnickiej 13. Interocy nie zawarł.

Nr. 11655/A. „N. Szulzynger i M. Wołkowicz”. Fabrykacja i sprzedaż wyrobów dzianych, tkanych i watoliny. Firma istnieje od 15 października 1927 r. Łódź, Piotrkowska 114. Właściciele, Naftali Szulzynger (Kilińskiego 48), Michał - Majer Wołkowicz (Aleje 1 Maja 8) obaj w Łodzi. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został do 30 czerwca 1929 roku z automatycznym rocznym przedłużaniem. Zarząd należy do obydwu wspólników. Weksle i wszelkiego rodzaju zobowiązania, akty notarialne, akty nabycia i sprzedaży nieruchomości, akty pożyczek hipotecznych, akty których treścią jest określenie z hipoteki i innych praw hipotecznych podpisują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmowym. Korespondencję wszelkiego rodzaju, dowody nie mające charakteru zobowiązań, rachunki i pokwitowania z odbioru pieniędzy, żyra na wekslach, przekazy, czeki, przesyłki podpisuje każdy wspólnik samodzielnie. Na mocy aktu interocy zeznanego przed Notarjuszem Nieznanym w Łodzi 23 lutego (8 marca) 1913 roku R. N. 4812, została ustalona między Naftalem Szulzyngerem a jego żoną wyłączność majątku i wspólność dorobku. Wołkowicz interocy nie zawarł.

Nr. 11656/A. „Stanisław Kołodziejski”. Tkalnia Mechaniczna Zarobkowa Wyrobów Jedwabnych. Firma istnieje od 1926 r. Łódź, Wólczańska 125. Właściciel Stanisław Kołodziejski, zam. w Łodzi przy ulicy Wólczańskiej 93. Interocy nie zawarł.

Nr. 11658/A. „Wycier” Roch Tomczyk i S-ka”. Wycieranie i czyszczenie kominów. Firma istnieje od 31 października 1927 r. Łódź, Rzgowska 7. Właściciele Roch Tomczyk, zamieszkały w Białej, Marjan Włodarek, zam. w Łodzi przy ul. Rzgowskiej 53. Spółka firmowa. Czas trwania spółki określony został na pięć lat z automatycznym pięcioletnim przedłużaniem. Zarząd należy do obu wspólników. Weksle, żyra, akcepty, czeki, przekazy i wszelkie zobowiązania oraz akty notarialne podpisują obaj wspólnicy łącznie. Każdy ze wspólników upoważniony jest samodzielnie inkasować należności, kwitować z odbioru i podpisywać pod stemplem firmy zwykłą korespondencję, odbierać przekazy pieniężne, towary, przesyłki. Do prowadzenia spraw sądowych upoważniony jest Roch Tomczyk. Interocy wspólnicy nie zawarł.

Nr. 11659/A. „Lejba Sionim”. Sklep z wodą sodową i słodyczami. Firma istnieje od 1920 r. Łódź, Brzezińska 63. Właściciel, Lejba Sionim, zam. w Łodzi przy ulicy Brzezińskiej 63. Interocy nie zawarł.

Nr. 11660/A. „Łyczkowski i Witt”. Prowadzenie zakładu pilnikarskiego. Firma istnieje od 12 września 1927 r. Łódź, Kilińskiego 231. Właściciele, Jan Łyczkowski (Siedlecka 16), Juliusz Witt (Abramowskiego 34) obaj w Łodzi. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieograniczony. Zarząd należy do obu wspólników. Weksle, zobowiązania, kontrakty i umowy podpisują obaj wspólnicy. Natomiast korespondencję podpisuje każdy ze wspólników samodzielnie. Interocy wspólnicy nie zawarł.

Nr. 11661/A. „Michał Trocha”. Handel win i wódek. Firma istnieje od 1925 r. Zgierz, Łęczycka 18. Właściciel, Michał Trocha, zam. w Zgierzu przy ulicy Łęczyckiej 18. Interocy nie zawarł.

Nr. 11662/A. „Joel Śpiewak”. Drobną sprzedaż towarów galanteryjnych i resztek bawełnianych. Firma istnieje od 1887 r. Zgierz, Piłsudskiego 7. Właściciel, Joel Śpiewak, zam. w Zgierzu przy ul. Piłsudskiego 7. Interocy nie zawarł.

Nr. 11663/A. „Moszek Wajsfeld”. Drobną sprzedaż cholewek i skór. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 roku. Łódź, Zgierska 7. Właściciel Moszek Wajsfeld, zam. w Łodzi przy ulicy Zgierskiej 30-a. Interocy nie zawarł.

Nr. 11664/A. „Mojsze Szejman”. Sprzedaż żelaza i naczyń kuchennych. Firma istnieje od 19 stycznia 1927 r. Łódź, Brzezińska 63. Właściciel, Mojsze Szejman, zam. w Łodzi przy ulicy Brzezińskiej 63. Interocy nie zawarł.

Nr. 11665/A. „Dawid Torończyk”. Sprzedaż manufaktury i dodatków krawieckich. Firma istnieje od 1907 r. Łódź, Nowomiejska 19. Właściciel, Dawid Torończyk, zam. w Łodzi przy ulicy Nowomiejskiej 19. Interocy nie zawarł.

Nr. 11666/A. „Mendel Naparstek”. Zakład elektrotechniczny. Firma istnieje od 12 listopada 1927 r. Łódź, Szkolna 30. Właściciel Mendel Naparstek, zam. w Łodzi przy ulicy Szkolnej 30. Interocy nie zawarł.

Nr. 11667/A. „Aron Wiernik”. Drobną sprzedaż manufaktury. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 roku. Łódź, Nowomiejska 19. Właściciel, Aron Wiernik, zamieszkały w Łodzi przy ulicy A. Kościuszki 13. Interocy nie zawarł.

Nr. 11668/A. „Bronisław Nawrocki i S-ka”. Prowadzenie handlu paszą, produktami rolnymi i materiałami opałowymi. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 r. Łódź, Przejazd 42/44. Właściciele, Bronisław Nawrocki (Juliusza 27), Stanisława - Anastazja Kozanecka (Andrzeja 46) oboje w Łodzi i Zygmunt Mittelstaedt, Poznań, ul. Cieszkowska Nr. 1. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieograniczony. Zarząd należy do wszystkich wspólników. Weksle, żyra na wekslach, czeki i kontrakty podpisuje samodzielnie pod stemplem firmowym Bronisław Nawrocki, który upoważniony jest do podejmowania i inkasowania wszelkich należnych firmie sum, otrzymywania przekazów, listów wartościowych, przesyłek oraz zastępowania firmy we wszystkich instytucjach państwowych i prowadzenia wszelkich spraw. Na mocy aktu interocy, zeznanego przed Notarjuszem Ładą w Łodzi 28 stycznia, 9 lutego, 1908 r. R. N. 290 między Kozanecką a jej mężem Tadeuszem - Kazimierzem i na mocy aktu interocy zeznanego przed Notarjuszem Kosteckim w Radomiu 29 stycznia 1913 r. za N. 99 między Mittelstaedtem a jego żoną została ustalona wyłączność majątku i wspólność dorobku.

GRUCHOTA ULECZALNA!

Fenomenalny wynalazek „Eufonia” zademonstrowany specjalistom. — Sami się w domu wyciszycie z przytęplonego słuchu, szumu i cieknięcia z uszu. — Liczne podziękowania. Prowadząca broszurę wysła bezpłatnie na żądanie

„EUFONIA”
Liszk koła Krakowa.

KASA CHORYCH m. ŁÓDZI.

W celu zakończenia prac, związanych z przygotowaniem bilansu za rok 1927

Kasa Chorych m. Łodzi

wzywa niniejszem wszystkie te firmy i przedsiębiorstwa, znajdujące się na terenie Łodzi oraz w miastach: Zgierz, Konstantynów, Aleksandrowie i Rudzie Pabjanickiej, które wpłacają potrącone na rzecz Kasy składki na podstawie sporządzanych we własnym zakresie wykazów, do składania tych wykazów w Wydziale Wpłat Ubezpieczeniowych Kasy, ul. Wólczańska Nr. 225, w terminie ostatecznym do dnia 10 stycznia 1928 roku.

Wykazy winny obejmować kwoty składek, potrąconych robotnikom i pracownikom od czasokresu, za jaki złożony został ostatni wykaz, do dnia 25 grudnia włącznie, który to dzień stanowi końcowy i ostatni okres tygodniowy roku bieżącego 1927.

Uprowadza się, iż firmy i przedsiębiorstwa, które wspomniane wyżej wykazy złożą lub nadesłają po upływie oznaczonego terminu, bez względu na ilość zatrudnianych robotników, zaliczone zostaną do szeregu firm, otrzymujących listy płatnicze, sporządzane przez Kasę na podstawie nadsyłanych co miesiąc indywidualnych zawiadomień o zmianie zarobków.

KASA CHORYCH m. ŁÓDZI

Łódź, dnia 14 grudnia 1927 roku.

Przedstawicielstwo na ŁÓDZ

Przyjmie kupiec — właściciel większej nieruchomości

ŁÓDZ Łaskawe zgłoszenia: ŁÓDZ
ul. Karła 18 właściciel domu

KUPIEC dekorator wystaw

Z kilkunastoletnią praktyką i ustosunkowaniem w branży galanterii damskiej i męskiej obejmie posadę w Łodzi, Poznaniu lub Warszawie ewentualnie kierownictwo interesu z własnym udziałem.

Łaskawe zgłoszenia proszę kierować do Administracji „Prawdy” pod „Kupiec dekorator”

Dwór z ogrodem

w WIELKOPOLSCIE

w ślicznym położeniu nad rzeką o 40 klm. od Poznania a 1 klm. od miasta powiatowego i kolei do wydzierżawienia.

Wodociąg, kanalizacja, elektryczność, oświetlenie, łazienki.

Blizszych szczególow udzieli Zarząd Majętności Golebin-Stary, poczta Czempin, Wielkopolska.

—170—

KARPATY SPRZEDAŻ PRODUKTÓW NAFTOWYCH

SPÓŁKA Z OGR. POR. RAFINERIE GAUCYJSKIEGO KARPACKIEGO-NAFTOWEGO T.A.

BENZOLINA

ODDZIAŁ w ŁODZI ul. 6go SIERPNI 7. Tel. 14-70 i 48-74.

OLEJE AUTOMOBILOWE KARPAT zyskały nagrody najwyższe na ostatnim targu międzynarodowym — i na II targu Pan w Polsce.

Redakcja i administracja w Łodzi, ul. Piotrkowska 85, tel. 45-50
Oddział redakcji i administracji w Warszawie, Wilcza 16, tel. 305-07
w Poznaniu, Skarbowa 7, tel. 28-58

Redaktor i wydawca: Paweł Ziłina.

Ceny ogłoszeń:

Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalaty. Ogłoszenia zwyczajne 25 gr. za 1 milimetr wysokości w jednej szpalacie. Ogłoszenia w tekście 40 gr. za milimetr wysokości w jednej szpalacie. Drobnie 10 gr. za wyraz. Ogłoszenia w „Zróżnic Zakupu” 3 zł. za 2 wiersze, każdy następny wiersz 1 zł.

Odbito w Drukarni Państwowej w Łodzi, Piotrkowska 85. 95827